Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1888. Rok XI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

PAN MICHAŁ.

Wspomnienie myśliwskie

przez

Kazimierza hr. Wodzickiego.

(Dokończenie.)

V.

W skutek pewnego zajścia, które poniżej opiszę, jedno tylko przykre wspomnienie pozostało w mojej pamięci po licznych naszych wycieczkach. Pan Michał zaperzył się wówczas, zgniewał i przez miesiące mi wypominał krzywdę, którą mu — jak twierdził — wyrządziłem.

Pan Michał posiadał łagodny charakter, nie był wprawdzie wesołym, lecz zawsze swobodnym i nie widziałem go w gniewie nawet przy zawodach na polowaniu. Zajście nasze było więc wyjątkowym wypadkiem. Jak już wspomniałem, nie lubił pan Michał towarzystwa i o ile tylko mógł, stronił od proszonych polowań. Gdy zaś na takich polowaniach powstały kwasy, nieporozumienia, lub też dezorganizacya, ja byłem kozłem ofiarnym, przyjmującym wymówki. Mruczał wtedy: „Pocóż leziesz Michale, gdzieś niepotrzebny, nie lepiej ci samemu polować?“ Ja jeden tylko i brat jego stanowiliśmy wyjątek — i to bez psów moich.

Na moje nieszczęście, namówiłem raz pana Michała na wycieczkę w Stryjskie góry, po za Korczyn i Majdan, hen, hen, w niedostępne lasy, ongi nieznające siekiery, a zasłane łomami i wywrotami. Pokusie mojej oprzeć się nie mógł, gdym mu powiedział, że na jednej górze sygnalizowano niedźwiedzia i niedźwiedzicę z piastunem, i że są zlokalizowane, z powodu znacznych przestrzeni, pod zielonkowatemi owsami. Zaiste był to dzień feralny. W połowie miesiąca października wybraliśmy się przed wschodem słońca, a stanęliśmy na naznaczonem miejscu dopiero o dziesiątej, pomimo dosyć szybkiego chodu. Organizator polowania nosił historyczne nazwisko, Rudolf Wurmbrand, ubranie jego było jak z żurnalu wykrojone, mówił po czesku i nibyto łamaną polszczyzną, nosił tyrolski kapelusik z piórami cietrzewia, z bródką kozicy, mundurek sieraczkowy z ciemnemi wypustkami, ściśnięty był żółtym pasem, na nogach miał spięte kamasze, w ręku widocznie nową strzelbę Lefaucheux. Był

to młody człowiek z miłym i ujmującym wyrazem, blondyn z rumianą twarzą, kręcącymi się włosami i uśmiechnięty. Na mnie wywarł miłe wrażenie. Pan Michał zaś, obejrzawszy go dokładnie, brzydko się skrzywił i coś niezrozumiałego zamruczał. Za tym organizatorem stało kilku Hucułów, przypominających węgierskich Cyganów, z toporkami, widłami i drągami, a leśny trzymał na sforze trzy małe kundysiki z figlarnemi oczkami, ruchliwe i niespokojne, lecz nie skomlące jak to często bywa. Uśmiechało mi się w duszy i byłem dobrej myśli, lecz gdy zerknąłem na pana Michała, ckliwo mi się zrobiło, bo na jego czole nagromadzone były chmury. Pan Michał nie lubił Niemców, nazywał ich „plundrami“ — dlaczego, tego się dowiedzieć nie mogłem, — a do żydów miał formalny wstręt. Gdy żyda spotkał, zawsze się odwrócił i splunął; obcował z nimi jedynie przy sprzedaży lisich skórek, zaś przy sprzedażach zboża, musiała trzęsąca się Katarzyna wytargowywać ceny.

Wurmbranda uważał pan Michał za Niemca, więc już mu się humor popsuł, a gdy zaniepokojony zapytałem o przyczynę, on kiwnął ręką i zniechęcony rzekł:

— Chodźmy, trzeba ten kielich goryczy do dna wypić.

Miał zaiste prawdziwe przeczucie. Leśniczy stawia mnie na skrzydle, o sto kroków odemnie pana Michała, dalej okolicznych leśniczych i strzelców, tam nazywanych puszkarzami, wreszcie znikł nam z oczu mówiąc, że idzie do nagonki, czyli do huczków.

Moje stanowisko było urocze; na takiem żyć i umierać. Przedemną ściana na parę tysięcy metrów wysoka, zarośnięta wiekowymi bukami, wcale niepodszytymi, a zatem panorama obszerne; za mną znowu ściana z bukami i gęstymi krzakami. Już się południowa godzina zbliżała; słońce promieniste ogrzewało nas nieco, lekki powiew wiatru, ruszając liśćmi, wytwarzał czarujący szum, nademną skrzeczące orzechówki, plusk padających ziarnek bukwi, tuż koło mnie nieustraszone stadko sikorek, skaczących po konarach i gałęziach, czepiające się listków, aby z woreczków i brodawek wydobywać zarodki owadów, — po ścianach popielatych, polITurowanych pni biegające pełzacze. Obraz ten, pełen uroczego życia, zajął mi długą chwilę. Musiałem się bardzo zapatrzeć i zadumać w niemem podziwieniu — gdyż spojrzawszy na zegarek, zobaczyłem drugą godzinę. Zwróciłem oczy w stronę stanowiska pana Michała; siedział on z głową schowaną w dłoniach, strzelbę miał między nogami, zupełnie nieruchomy. Pomyślałem sobie, że go dręczą smętne myśli, i nic dziwnego, po trzechgodzinnem bezowocnem oczekiwaniu.

Góry głuche, ani głos trąbki, ani Hucuła, ani sobaczki uszów nie dochodzi, o polowaniu nic nie słychać — my wydajemy się jak osoby, siedzące na medytacyach i pokucie. Wstrząsł się cały mój organizm, lecz siadłem znowu pod bukiem i począłem z nudów stawiać piramidę z ziarnek bukwi, taka obfitość leżała pod bukiem. Przez pięćdziesiąt lat mego życia, zapamiętam tylko dwa wielkie urodzaje bukwi, co jasno dowodzi szkodliwości naszego klimatu z powodu przymrozków na wiosnę, mrożących niemal co roku kwiat buczyny i nader często dębiny.

Wtem słyszę przed sobą szelest i widzę skaczącego dwuletniego rogaczyka, zbliżającego się do krzaku malin, stojącego przedemną i wreszcie skubiącego liście. Złożyłem się, mierzę do kształtnego zwierza, lecz zakon myśliwski nie dozwala strzału i wyznać muszę miłe moje wrażenie, gdy nareszcie rogacz się w gąszczy schował, a z nim usunęła się i wielka pokusa. Podnoszę się ostrożnie i z przerażeniem widzę, że to czwarta godzina dochodzi. Już się nie troszczę o to nieszczęśliwe polowanie, lecz mi żal pana Michała i czuję obawę przed zasłużonemi wymówkami. On siedzi jak posąg, a widocznie nie drzemie; pewie wzburzona żółć Morfeusza odgania. Westchnąłem głęboko, wyjąłem manierkę, haust wódki mnie ogrzał, przekąska posiliła, lecz humor dobry nie powrócił.

Chwilowo zajęła mnie mrówcza wojna między czarnemi a czerwonemi mrówkami, odbywająca się na korze buka. Sroga to walka, niezliczone zastępy posuwają się z dołu do góry szerokim pasem, a wązkim powracają niosąc niewolników, lub pędząc przed sobą. Widocznie źle z czerwonemi pomimo znanej ich waleczności i natarczywości. Kołyszący się po nad ziemią argus, ten motylek niebieski, jak z firmamentu wykrojony, ruchliwy turkus przyrody, oderwał mój wzrok od srogiej walki, gubiącej tysiące mrówek i nasunął smętne myśli, towarzyszące najczęściej jesieni, układającej już do snu zimowego przyrodę. Woltyżował ze zwiędłego kwiatka na drugi, z trawki na trawkę, szukał miodu, nareszcie usiadł na listku, stulił skrzydełka i do snu się ułożył. Dziwnie smutny to był obrazek głodu i zakończenia życia.

Zapatrzony i zamyślony, nie spostrzegłem zbliżających się towarzyszy myśliwskich z uśmiechniętym panem Wurmbrandem na czele. Na moje gorączkowe zapytanie, co się stać mogło, odpowiedział najspokojniej:

— Huczki inną górę przegonili, więc na tej wcale nie byli, gdzieśmy stali.

— A dlaczegóż Pan nas przykuł do stanowisk na cały dzień?

— Ja podbiegłem pod nagonkę, lecz mi za daleko było, więc się wróciłem i czekałem na koniec polowania, bojąc się trąbić, aby zwierza nie spłoszyć.

— Jak pan możesz cierpieć w swych lasach taką dezorganizacyę, taki nieporządek i narażać się na taki wstyd?

Odrzekł najspokojniej i to z uśmiechem:

— O, to nam się często zdarza.

Już mi się miarka cierpliwości przebrała, więc z dodatkiem nie bardzo grzecznego słowa, wykrzyknąłem:

— To sobie pan sam poluj z takiem myśliwstwem, ale nie proś gości.

Pożegnaliśmy pana Rudolfa, złorzecząc jemu i akademii w Mariabrun, która takich myśliwych wychowuje, i puściliśmy się w drogę ku domowi. Pan Michał czerwony i zasapany często spluwał, co było dowodem już znacznie złego humoru, ale ani słówkiem się nie odzywał. Już nas noc zaskoczyła, więc na kamieniach i korzeniach potykaliśmy się a niekiedy i kaleczyli. Ja szedłem ostatni. Po kilku godzinach chodu zdawało nam się, że już niedaleko do naszej siedziby czasowej. Zbliżył się już zupełnie udobruchany pan Michał i rzekł:

— Proszę pana, po co sprowadzają do kraju takie plundry? Dobrze to wychowana młodzież, pełna wiedzy i nauki, każdy miernik egzaminowany, lecz cóż to może zdziałać użytecznego, skoro nie znają granic swego kilkotysięcznego rewiru i błądzą we własnym lesie? Co on tu ma robić? Szkółek nie zakłada, kultury mu się nie opłacą dla braku rąk, on i tysiąca sadzonek nie wysadzi i cóż mu tu nauka pomoże? Niech siedzą w Niemczech, lasy obrabiają jak ogrody, lecz tu mi się wydają jak ananasy wysadzone w polu.

O głodzie i chłodzie pchaliśmy się nad miarę zmęczeni i ledwie o północy dobiliśmy do domostwa naszego w czar-

nych humorach. Wstąpiwszy na próg, pan Michał temi słowy ten nieszczęśliwy dzień zakończył:

— Nie mówiłem panu, że z plundrami w naszych górskich lasach polować nie warto?

Za pana Rudolfa Wurmbranda jeszcze i w późniejszych latach doznawałem biczowania, a tego dnia z pewnością przez całe życie zapomnieć nie zdołam.

VI.

Był to piękny, jasny wieczór, darowany przed zimą przyrodzie. Ogień nas ogrzewał, dym pionowo się unosił ku niebu jak dym ofiarny Abla, firmament bez obłoczku, gwiazdki przyćmione, cienie drzew prześlicznie się rysowały, a nasz tabor przypominał straże na kresach. W duszy było błogo, gdyż nam się powiodło na polowaniu, humory doskonałe, każdy z nas popijał herbatę z owczem mlekiem, marzył i dumał i dobrze mu było. Wtem pan Michał nachylił się ku mnie i niespodzianie, pół głosem, aby drudzy rozmowy naszej nie słyszeli, zapytał:

— Czy pan wierzysz w czary, złe oko i uroki rzucane?

Zagadnięty niespodziewanie po chwili odpowiedziałem:

— Nie wierzę i nie obawiam się. Przebiegający drogę zając, wywrócona solniczka, 13 osób przy stole, spotkanie księdza przed polowaniem i krocie innych zabobonów najmniejszego nie czynią na mnie wrażenia. Wierzę w pokutujące dusze, nawiedzające nas, czy dla przestrogi, czyli też z prośbą o modlitwę. Lecz wierzę, że są ludzie, z którymi mi się nie wiedzie. Nie wątpię, że rządzą nami antypatye i sympatye, więc gdy osoba nieżyczliwa, lub antypatyczna ze mną razem działa, wtedy najczęściej niepowodzenie mi towarzyszy. Nie zamierzałem jednak nigdy odgadnąć przyczyn tajemniczych powodzenia lub niepowodzenia, pomimo zagadkowych zdarzeń. Są zjawiska w świecie zasłoną tajemnicy zakryte, i tej widocznie zrywać nam wie wolno, pomimo wrodzonej ciekawości synów matki Ewy.

Pan Michał nie odpowiedział na razie ani słowa. Długo dumał, lecz potem, jak gdyby sobie przypominał pasmo dziejów, potarł czoło ręką i rozpoczął zajmujący wykład w tym przedmiocie.

— Jeżeli pana sen nie zmoże — rzekł — to wysłuchasz opowiadania szczególnych zdarzeń z mego życia myśliwskiego. Nie jestem zabobonny i nie wierzę w czary, bo mi to kościół zakazuje. Można nie wierzyć, można i wątpić o rzucanych urokach i przeprowadzanych czarach, lecz one się zakorzeniły we wszystkich narodach i nie są do usunięcia. W naszym ludzie jest przekonanie o istnieniu czarów i o ludziach, posiadających władzę rzucania uroków. Jak się Włosi boją „gettatury", tak wielu wierzy w złe oko i u nas. Kto, jak i kiedy na mnie rzucił złem okiem, nie wiem, lecz czuję rzucone złe życzenie na polowaniach, na których przez tygodnie całe nie miałem żadnego spotkania.

Według woli Bożej złe życzenia i przekleństwa okazują skutki, lub też rzucone pozostają jałowemi, jak n. p. przekleństwo rodziców prześladuje dzieci, a Opatrzność je usuwa. Wierzę w złe i dobre życzenia, zależące od jednostek, które mi je składają, a w myśliwstwie dożył każdy przez długie lata krocie zdarzeń, których sobie inaczej wytłómaczyć nie może, jak złem okiem i złemi życzeniami. W myśliwstwie tajemnica na tajemnicy, przy najdziwaczniejszych zdarzeniach, niespodziankach, wzbudzających ciekawość i zadziwienie. Co rządzi wyjątkowo zwierzem, z jakiej przyczyny nierówno uposażone, jakie ma przeznaczenie, ile żywotności, jakie jego przymioty i wady? W przyrodzie kat i ofiara i na nich stoi równowaga, jaki zaś stosunek zachowanym być ma, tego wiedzieć nie możemy; wszakże człowiek zmuszonym chronić się od szkody, a przymnażać pożytku z wyzyskiwania przyrody.

Ileż to razy miewałem przy psach chłopca, przy którym ustawicznie panowała nosacizna, psy się kaleczyły i istny szpital musiał być utrzymywany. Ileż to razy miałem znów furmana, przy którym konie źle wyglądały, cierpiały nieustannie na jakieś zagadkowe kulawki, brak żerności i rozmaite przypadłości. Bywały i klucznice, przy których nie darzył się drób w jakimbądź gatunku. Gdy sługi takie oddaliłem, wszystko się na dobre zmieniało. Pewnik to dla mnie, że z jednymi się powodzi a z drugimi nie wiedzie, doświadczyłem tego wiele razy w mojem życiu nawet z takimi, którym nie mogłem zarzucić pijaństwa, nieuczciwości, lub jakich kardynalnych wad charakteru.

Lecz powracam w mem opowiadaniu do myśliwskich zdarzeń.

Wypada na szeroką linię samura olbrzymich rozmiarów. Byłem zupełnie spokojny i do strzału przygotowany i gdzie poślę mój sztof, tam pewnie trafi. Strzelam na 20 kroków — i chybiam. Samura staje, spokojnie mierzę w komorę — i chybiam po raz drugi. Prawda, że tego dnia, wyjeżdżając z domu, spotkałem księdza grecko-unickiego...

Pamiętam zimę z grubą skorupą lodowatego śniegu, którą zwierz racicami z trudnością przebijał, to też gdy był w ruchu, słychać było o kilkaset kroków chrupotanie. Dziki miały zakrwawione nogi i ze skóry obdarte do wysokości kolan, istne męczenniki tej srogiej zimy. Prześladowany, musiał każdy z nich ginąć, przed psami zaś uciekać nie mogły i sobaki przytrzymywały każdego. Stanąwszy na dosyć jasnym olchowym zrębie, słyszę łomot przez długi czas podobny do tego, jaki bydle wytwarza, krocząc po lodowatym śniegu. Niebawem przedstawia mi się pojedynek wielkich rozmiarów o 10 kroków, podnosi ryło, wietrzy i mnie nie widzi. Składam się, mierzę w prawe oko, strzelam i słyszę oddalającego się zwierza. Tfu! splunąłem wykrzyknąwszy: to istne czary! Zmówiłem modlitwę do św. Huberta i poszedłem do domu jak zmyty. Dziś jeszcze widzę to oko, patrzące na mnie bezmyślnie. Chybne strzały przypuszczam, krew nie woda, a nerwy nie postronki, często niespodzianka, gorączkowy ruch powoduje chybienie; lecz są zdarzenia w życiu myśliwskiem, których nikt nie wyjaśni, rzeczywiście niepojęte i zagadkowe. Można wierzyć lub nie wierzyć, lecz tajemniczości przeczyć nie możemy.

W górach u nas to inny zwierz, jak żyjący w płaszczyźnie, niekiedy olbrzymich rozmiarów, wytrwały, silny i odważny. Owóż taki to rogacz na mnie wybiega, staje, ciało chowa za jodłę, a nadstawia mi kark i głowę o kilka sążni odległości. Przypominał jelenia św. Huberta, brakowało jedynie krzyża między rogami. Mierzę dokładnie — i tyle go widziałem.

Pod jesień pojechałem z pieskami w góry. Zimno nam srogo dokuczało, umieściliśmy się w kolibie oddalonej od lasu, poczęliśmy palić płot, kawałek po kawałku, i nareszcie spaliliśmy całe ogrodzenie. Dobrze i ciepło nam było przez całą noc, lecz sroga kara nas spotkała, gdy nad ranem gazda nadszedł i zobaczył wyrządzoną dezolacyę. Był też to język wyjątkowy — pysk w piekle wykrojony — co było dyabelskich wyrazów, on się ich nauczył i nas niemi częstował, a w końcu nas i psy nasze zaklął. Ani słowa słodziutkie, ani ofiara pieniędzy, ani nawet ofiarowany tytuń, ta największa pokusa dla górali, nic tego rozszalałego gniewu

*

rozbroić nie mogło. Nie pozostawało nam zatem jak spiesznie się wynosić, zabierając co było nasze. I co pan powiesz, na doskonałem polu, przy obfitości sarn, psy nie chciały szukać, łaziły po lesie jak strute, ani podkładanie, ani trąbienie ochoty im nie dodawało i w ten sposób przebyłem trzy dni, nie słysząc ani razu jednego gonu psów. Przywiózłem psy do domu, a po kilku dniach odpoczynku, sobaczki moje goniły doskonale. Cóż pan na to powie? To nienaturalne sprawy...

Jadąc raz wózkiem, spostrzegłem na stawie 12 do 15 pływających gęsi, z gatunku tych wielkich szarek. Dla strzału nieco za daleko siedziały, lecz, podszedłszy trzciną kilkanaście kroków, można było kilka trzepnąć, a taka gratka nie często się zdarza. Pomimo zimna i liżącego wiaterku, wchodzę do lodowatej wody po kolana, dalej po brzuszek, już mi za głęboko, zębami głośno dzwonię i myślę, że źle ze mną będzie, a gdym się wychylił po za trzcinę, widzę wszystkie w kupce, jak dla mnie ustawione. Celuję do główek i pewny jestem, że ani jedna nie uleci, bo miałem zajęczak w lufach. Mierzę, strzelam do siedzących w odległości kilkunastu kroków, gęsi wszystkie się zrywają; strzelam drugi raz w lot w tę zwartą kupę — i ani jedna nie spada, nawet piórka nie zostawia. Okiem śledzę gęsi na horyzoncie, uchem słyszę wesołe gęganie, więc wszystkie bez szwanku odleciały. Dzięki Bogu, żem tej kąpieli nie odchorował i życiem nie przypłacił.

Inne zdarzenie, narażające mnie na niepospolite niebezpieczeństwo: Mróz był siarczysty, powietrze iskrami napełnione, blask taki, że się zdawało, iż dwa słońca świecą, światło rażące oczy, wzrok przyćmiony, a oczy pełne łez. Fatalna konjektura dla myśliwego, a do tego wcisnął się był odyniec w czarne łozy, zaplecione dzikim chmielem, więc z żadnej strony nie można było do niego przystąpić. Po długiej walce, wyparły go nareszcie psy na porąb, na którym pozostała jedna brzoza, za którą stałem. Psy szarpią odyńca, a Kasper za tylną nogę swoim zwyczajem trzyma. Drzewo mnie niedostatecznie kryło, więc rozwścieklony pojedynek sadzi obces na mnie. Ciągnę za cyngiel — nie spuszcza kurków, ciągnę za drugi — to samo się dzieje, a tu dzik pod nogami. Ledwie się wygiąłem, jak z gutaperki ulany, a już mnie potwór tnie kłem szczęśliwie, bo przeciął jedynie kożuch i spodnie, nie zostawiając śladu na mej skórze. Włosy czapkę podniosły, krew mi do głowy uderzyła i poty mnie oblały, lecz mi psów żal, przekonany, że im się odyniec da we znaki. Podskakuję kilka kroków i chcę puścić moje sztofy, lecz znowu kurki odmówiły posłuszeństwa. Ot, znowu tajemnica. Psy osaczały kilka razy zwierza, sądząc po głosie, Grześ się gdzieś zapodział, mnie poczęła febra trząść, z wysileniem dobiłem do domu i rzuciłem się na siennik, dzwoniąc zębami. Żadna pościel i kożuchy ogrzać mnie nie mogły. Po tej lodowatej godzinie poty na całe ciało wystąpiły. Przeleżałem jeszcze chwilę, wstałem i oczywiście poszedłem do mojej zepsutej w zamkach strzelby, ale — o dziwo, — obydwa cyngle doskonale spuszczały. Zagraj i Kasper, zniechęcone brakiem pomocy i opieki, porzuciły dzika i przybiegły koło północy do domu, nieszczęśliwy zaś Łoskot przywlókł się nad ranem z rozpłatanym brzuchem, któryśmy musieli zaszywać i zalewać. Że to był urok, to mi w myśli i dziś jeszcze stoi, lecz kto go rzucił, tego dociec nie mogę i ten odyniec mi się wydaje zaczarowanym. A że w tym rewirze dożyłem kilka wypadków nieprzyjemnych, już w nim polować nie chciałem. —

Ołowiany sen, ten znany sen myśliwski przerwał nareszcie zajmujące opowiadania i do rana spoczywaliśmy, patrząc na przemykające dziki w naszej wyobraźni. Drugiego dnia, zachęcony i rozciekawiony, zaraz po ukończonem pożywieniu, uprosiłem pana Michała, aby mi dalej opowiadał podobne zdarzenia.

— Najchętniej to uczynię — rzekł swobodnie. — Opowiadania te mnie rozgrzewają i niosą myśl ku młodym latom. Nie doznałem w życiu mojem burz, ani też krzywd od ludzi, bo od nich stroniłem, będąc odmiennego usposobienia jak ogół; myślę, że nie mam wrogów i otrzymuję od ludzi to, co im udzielam, mianowicie życzliwość, a w możności pomoc, szczęśliwy, jeżeli jej nie potrzebuję — to też w mem życiu, zatopionem w przyrodzie, pamięć mi służy i zarejestrowane zdarzenia żywo przedemną stają.

Tak panie, są tajemnice w myśliwstwie nieodgadnięte. Znałem myśliwych, którzy swoją obecnością psuli lub naprawiali polowania; w jednych się darzyło, w drugich jakieś piekielne niepowodzenie, przypadki i nieszczęścia. Polowałem przez kilka lat ze znanym w szerokiej okolicy kłusownikiem Śliwką, przeważnie na kunice (kuny leśne), które znakomicie tropił i ubijał. On to, jak mówiono, posiadał moc zażegnania strzelby, która wtedy ni ptaka, ni zwierza ubić nie mogła, i trzeba było dopiero ukośkać Śliwkę, aby odjął urok rzucony. Czy on ukradkiem lufy smarował, czy co wrzucał lub wlewał, nie wiem — cytuję fakt, bo to na oczy widziałem, co opiszę.

Przyjechało do mnie dwóch młodych i wesołych krewniaków, wcale nie źle strzelających, a namiętnych myśliwych. Słysząc na polowaniu o uroku i czarach, poczęli się śmiać i drwić, powodując do wielkiego śmiechu przytomnych. Śliwka spokojnie drwinek wysłuchał, a oburzony lekceważeniem, zadąsał się, zachmurzył, splunął swoim zwyczajem i rzekł sucho: „Panicze jutro nic nie zabiją.“ Śmiech i żarty zagłuszyły czarownika, on zaś, uśmiechając się szyderczo, patrzył z ukosa na młodzieniaszków. Rzeczywiście drugiego dnia, co który strzelił, to było pudło. Jednego zająca zestrzelali na rzeszoto, a i tego dopiero ludzie łapali i dobili; próbowali strzelać do sojek i żadnej nie ubili. W dalszem polowaniu znowu niepowodzenie. Nareszcie trzeciego dnia dał się Śliwka przeprosić, zabrał ich strzelby do domu, bo to był warunek z jego strony, i zabili sarnę, lisa i kilka zajęcy.

W Brzeżańskiem był Hryńko. Ten mi wyganiał dziki bez psów i naganiaczy. Szczególną miał moc panowania nad dzikiem i kierowania niem; wyganiał dziki na moje stanowisko, które mi wskazał, choć co prawda, trzeba było niekiedy stać i przez kilka godzin. Kto jednak stanowisko opuścił lub zmienił, temu już za żadne pieniądze dzików nie gonił. Przypominam sobie dzień marcowy, w którym prośną samurę obgonił 14 razy w około miotu i nareszcie na mnie wypędził. Zaiste zagadkowa była jego władza nad dzikami pojedyńczymi, bo stada nie chciał nigdy gonić, podziwienia godna znajomość lasu, natury i zwyczajów dzika, tropów i zastosowanie do pory roku. Rzeczywiście, pędził dzika jak pospolitego wieprzka. Razu jednego wygonił mi na śniegu odyńca pod nogi już po zachodzie słońca; ubiłem go wprawdzie, lecz po pięciogodzinnem czekaniu na trzaskącym mrozie. Gdy Hryńko nadszedł i zobaczył trupa, wesoło zawołał: „Panu będę zawsze dziki gonił.“

Albo ten stary Kowalski, który mi wyganiał cietrzewie w jesieni! I on posiadał złe oko i niejednego figla spłatał. Bali go się myśliwi, łasili mu się i podchlebiali. Dziś tych ludzi nie ma, lecz że byli, przeczyć nie można. Dlaczego znikli z naszego widokręgu, dlaczego się pojedynczo nie pojawiają — odgadnąć trudno. Dziś jeszcze po

wsiach słyszymy o urokach, o zażegnaniach i odżegnaniach, lecz w myśliwstwie tych szkodliwych, a niekiedy pożytecznych zjawisk dopatrzyć nie mogę.

Nie lubię wspominać o pewnem zdarzeniu, bo mi obraz jego żywo stoi w pamięci i na samo wspomnienie całe moje jestestwo się obrusza. Możesz je sobie tłómaczyć podług woli, lecz je panu opowiem:

Działo się to w miesiącu listopadzie, w dzień prześliczny, na granicy węgierskiej, w uroczej okolicy. Polanki się grzały do słońca, z głębokich parowów wydobywała się mgła, czarne ramy świerczyny okoliły krajobraz, ja się zagłębiłem w podziwieniu szepcząc: Przecie ten świat piękny w każdej porze roku! Wtem na ścianie podemną zaszczekał pies. Miałem wtedy małego pieska, Murdzia, doborowego tropowca, odważnego i nader sprytnego. Pomimo głośnego i ponowionego głosu, tamte psy nie przybiegły, a zawsze we czwórkę goniły. Otóż dla mnie znowu zagadka, bo się przekonałem, że były w bliskości. Biedaczysko Murdzio musiał w pojedynkę odyńca z gęstwiny wyparować, eskortować wiernie i wyprowadzić walecznie na wyżłobioną nizinę, zarzuconą olbrzymiemi odłamami skał omszonych, — ozdobioną niebotycznymi, brodatymi świerkami i guziastymi bukami. Dzik stanął na skąpej murawie i rozglądać się począł, a gdy Murdzio mnie zobaczył, skoczył, złapał dzika za ogon i targał co sił starczyło. Odyniec szurgnął za nim, lecz kieł psa nie trafił, wtedy widząc, że to nie przelewki, posunął się, o skałę oparł zad, począł głośno kłapać, jerzyć się i toczyć pianę. Widząc rozwścieklonego zwierza, a natarczywą odwagę pieska, nie wahałem się ani chwili podbiedz od świerka do buka i zbliżyć się na strzał pewny, a zależało mi na szybkości, aby ratować życie odważnej a wiernej sobaczce. Gdym dobiegł do połowy ściany, potknąłem się na omszonej kretowinie czy mrowisku, wszakże wstałem i zdobyłem równowagę; chcę biegnąć dalej, a tu nogi jak przykute do darni, na której stałem... Chcę je podnosić, lecz nie mogę, jak paraliżem tknięte — przykucam, wstaję, ruszam rękami i całem ciałem, a nogi przykute i zaczarowane; nic mnie nie boli i nie zawadza, wszakże z miejsca się ruszyć nie mogę. Tłukę kolano o kolano, trę rękami nogi, nic nie pomaga, trzeba tu będzie zginąć, a przedemną o 200 kroków odgrywa się straszliwy dramat, obraz, do którego ręce wyciągam. Dzik mamli ryjem, postawił czub na głowie, najeżył szczecinę na grzbiecie, z miejsca się nie rusza, widocznie układa plan do pozbycia się natrętnego psa. Murdzio, widząc mnie, stawał się coraz natarczywszym, a nie mogąc dobrać się do zadu, próbował za uszy uchwycić, poczem spiesznie do gąszczu uciekał. Ostatnia to była chwila w życiu tego psa. Dzik widocznie przygotował się, wymierzył i szurgnął za swą ofiarą; podniósł na kle psa, rzucił w powietrze i wolno, majestatycznie podążył do gąszczu. Widząc psa, ginącege na kle pojedynka, łza mi się w oku zakręciła, smuciłem się poniesioną stratą, smuciłem jeszcze więcej moją niemocą i niemożebnością pomszczenia tej śmierci. Gdy tak smętnie dumam nad ratunkiem psa, machinalnie podnoszę nogę, potem drugą i kroczę spiesznie bez żadnej przeszkody ni bolu ku pobojowisku, lecz niestety, przychodzę już do trupa z przebitem sercem. Czarna to była godzina w mem życiu myśliwskiem, a gęstą zasłoną zakryty cały epizod. Dlaczego psy, słysząc ujadanie przez pół godziny, nie przybiegły na pomoc Murdziowi i pojawiły się dopiero po zgonie towarzysza? Dlaczego sparaliżowało mi nogi? Są to prawdziwe zdarzenia, a zaiste zagadkowe...

Kto, jak i kiedy rzuci na mnie urok, wiedzieć nie mogę, lecz wiem wtedy, że mi się darzyć nie będzie na polowaniu. I tak mogę w towarzystwie nieżyczliwych mi lub antypatycznych, po kilka dni chodzić po lesie, a zwierza nie zobaczę. Gdy poluję w nieznanych lasach, a nie mam spotkania, to mnie nie dziwi wcale; lecz na znanych „wekslach" i wypatrzonych, zwierz mnie pomijać nie powinien, i wtedy mi w duszy markotno i lęk mnie ogarnia.

W czasie mego opowiadania nieraz się pan z niedowiarstwem uśmiechał i głową potrząsał, tłómacząc sobie zdarzenia. Ja też nie myślę pana przekonać, ani dalej nużyć temi zagadkowemi zjawiskami w zawodzie myśliwskim; wszakże opowiem jeszcze dwa szczególne zdarzenia.

Nad granicą węgierską, w okolicy leśnej, żyła gromadka ludzi, o których można było powiedzieć, że tam nędza z biedą się zlały, tak były głodne, nagie, zamurdzane, wzbudzające litość ich postacie. Tam zaiste na tej wysokości ani las, ani grunt nie miały wartości i chłopi bez przeszkody korczowali sobie i na korczunkach siali owies, jak za czasów Noego. Z tych korczunków wytworzyły się dwa znaczne kompleksy lasu, połączone głębokim parowem, gęstą świerczyną zarośniętym. Tym parowem z lasu do lasu po znanej drodze tak niedźwiedź jak i dzik przemykał, gdy był psami party. Stanąłem na wekslu i miałem doskonały wiatr; trzy razy zbliżał się do mnie niedźwiedź, lecz zawsze nawracał i cofał się w głąb kniei. Zdawało mi się, że zwierz osaczony, więc się podkradam pod psy i w osłupieniu widzę niedźwiedzia starego, czarnego, jak przechodzi przez moje stanowisko!

Albo ten wypadek: Pastuszkowie wypatrzyli niedźwiadka w kręglaku, otoczonym polami, w którym były niezgłębione parowy i gąszcz dla węża za wielki. Połączony on był z lasami węgierskiemi wąskim pasem świerczyny. Tamtędy zawsze zwierz przemykał i widoczna była wydeptana ścieżka. Puszczono dwanaście psów, do nich przyłączyło się kilka wiejskich kundysów. Niebawem słyszymy głośną wrzawę, istny harmider; lasy się zatrzęsły, staję na owej ścieżce z drgającym na cynglu palcem i widzę — o dziwo — mamzera na czystem polu psami turbowanego, co wszakże nie przeszkodziło, że polem pogalopował do Węgier i w tym samym dniu na drzewie zastrzelonym został. Wszyscy się dziwowali, nikt pojąć nie mógł przyczyny ucieczki przez pole ostrożnego zwierza, ja jeden, w humorze piekielnym, powtarzałem sobie: „Było tu złe oko, lecz czyje? — oto pytanie! —

Nieraz w późniejszych latach przypominałem sobie słowa pana Michała wobec niespodzianek myśliwskich i dziwnych niepowodzeń, nie mogąc odgadnąć przyczyn; gdy zaś to pamiętniki nie moje, wolę o nich przemilczeć i o zdarzeniach mego życia myśliwskiego nie wspominać.

VII.

Siedząc wieczór przy ognisku, posyłającem ku niebiosom gęste iskry, gwarzyliśmy wesoło, gdyż przed nami leżało pięć dużych dzików, a pies żaden rannym nie był. Zapytałem pana Michała, jak to było z tą niedźwiedzicą i piastunem, smutnego wspomnienia?

Pan Michał z gotowością zaczął opowiadać epizod nader dramatyczny, najniebezpieczniejszy w jego życiu, przypisując go wyłącznie lekceważeniu, braku zastanowienia i rozwagi.

Oto jego opowiadanie:

— Nocowałem w kolibie dosyć licznie zamieszkałej wobec gęstego szpilkowego lasu. Przed kolibą był okół obszerny, poręczami okolony, przeznaczony na miejsce noclegu dla bydła. Poszedłem rano do lasu, wszakże nie przypuszczając obecności dzika lub niedźwiedzia, wobec głosu trąb, fujarek,

krzyków i śpiewów, miałem na ramieniu moją nigdy nie kłapiącą strzelbę i spuszczałem się kamienistą ścieżką ku parowowi, gdzie były ponętne dla dzików źródliska i moczadła. Nie pamiętałem, że mi gazda stary mówił o niedźwiedzicy z małym, która mu już kilka owiec i jałówkę porwała; nie bardzo też temu wierzyłem. W przekonaniu, że Grześ puści psy z tamtej strony góry, i wiele czasu upłynie zanim się polowanie rozpocznie, rozważałem sobie wygodnie gdzie na psy czekać i gdzie stanąć na zwierza. Wtem przemyka mi przez drogę coś czarnego. Podskakuję ku temu miejscu i spostrzegam siedzącego na zadzie piastuna, który głaskał kudły na głowie, czyli, jak to mówią, mył się. Zapomniawszy o zasadzie myśliwskiej, że nie wolno strzelać do piastuna, gdy matka jeszcze przy życiu, rozgorączkowany tą niespodzianką, strzelam na kilka kroków odległości do nieruchomego niedźwiadka. Wprawdzie padł trupem, lecz przed skonaniem przeraźliwie i piskliwie zamruczał. Wtedy to nadeszła na mnie czarna i straszliwa godzina. Śmiertelnemu westchnieniu piastuna odpowiedziała matka głośnym rykiem i z przeciwległego gąszczu wychyliła się duża, czarna niedźwiedzica, pomrukująca, z otwartym pyskiem. Podskoczyła ku martwemu piastunowi, przewróciła go łapą, a przekonawszy się o śmierci, siadła i rozglądać się poczęła. Po krótkiej chwili zobaczyła mnie, stojącego nieruchomo za gęstym krzakiem świerczyny, ryknęła jak gdyby krzycząc: „Ty zbójco mego dziecka!“ — i dwoma susami zbliżyła się do mnie, stanęła na dwóch łapach zadnich, a przednie drgające ku mnie wyciągała... Bardzo mi się markotno w duszy zrobiło, lecz powiedziawszy sobie: *aut — aut* z zimną krwią, przytykając prawie lufy do głowy, spuszczam cyngiel i... kłapię z tej, która nigdy nie kłapała.

W jednej chwili powaliła mnie niedźwiedzica na mech. Padłem szczęśliwie na twarz. Niedźwiedzica uderzyła mnie w siedzibę, wpoiła pazury i wyrwała co mogła z mego ciała. Ból mój był straszliwy, a uderzenia te kilkakrotnie powtarzała, nie ruszając mnie wcale zębami. Zdawało mi się, że już wyrwała całą moją siedzibę, że dobierze się niebawem do trzewów i że wypadnie tu Bogu duszę oddać, jak przystoi żołnierzowi św. Michała. Widocznie mój Bekas przyprzypatrywał się stoicznie tej katuszy, lecz w końcu uznał za stosowne wmięszać się w walkę. Począł ujadać i niedźwiedzicę z tyłu za kudły targać. Zwierz zatem chwilowo mnie puszczał, goniąc za psem widocznie, i chcąc go uchwycić zębami lub łapami; lecz stare psisko wywijało się doskonale, wszakże uwolnić mnie nie mogło zupełnie. Rozjuszona niedźwiedzica psa porzucała, co chwila przyskakiwała i łapą waliła. Czułem już, jak się z ran otrzymanych ciepła krew lała, podlewając moje ciało. Ale Bekas przerywanem turbowaniem nie dał się odstraszyć; kąsał, szarpał, naszczekując głośno. Jak długo trwało to pastwienie się bestyi nademną, powiedzieć nie mogę, oczywiście wydawało mi się wiekami, nareszcie słyszę strzał i gniotący mnie ciężar nie do zniesienia. Okazało się, że Grześ, słysząc strzał, a później ujadanie walecznego Bekasa, przybiegł z psami i na mojem ciele zastrzelił niedźwiedzicę rozwścieklonę.

Przytomności nie straciłem ani na chwilę, lecz przestrach i upływ krwi tak mnie osłabiły, że się ruszyć nie mogłem. Nadbiegli ludzie z koliby, wyrąbali drążki, wypletli choiną łoże i zaniesiono mnie do gościnnego gazdy, gdzie przeleżałem dwa tygodnie, żywiac się mlekiem, żętycą, a niekiedy rosołem z jarząbków, które Grześ strzelał. Z trudnością mi hubką zatamowali krew, która się sączyła przy każdym ruchu i pokazało się, że gdy ja myślałem, iż niedźwiedzica rwie mi ciało do kiszek, ona tylko pazurami dosyć głębokie rany zadawała. Kapota fałdowana i grube spodnie uratowały moje ciało.

Przeżyłem długie a przykre chwile, gdyż siedzieć nie mogłem; ból dokuczał mi nawet przez całą zimę — nareszcie znieśli mnie na doły i pojechałem do domu, jak to mówią, aby się do reszty wylizać. Teraz pan pojmiesz, z jakiej przyczyny cierpię koło siebie to stare psisko i wdzięczny jestem do śmierci Grzesiowi za uratowanie mi życia. Dziś jeszcze namacać mogę dołki, porobione pazurami mysia. Byłem nieraz w niebezpieczeństwie, zawsze śmiało mu zazierałem w oczy, nie traciłem ni zimnej krwi, ni przytomności i zawsze wydobywałem się zwycięsko z niebezpieczeństwa, dzięki łasce opiekuńczej św. Michała (trzeba wiedzieć, że nasz myśliwy ignorował Dyanę i św. Huberta, dla niego patronem myśliwstwa był wyłącznie św. Michał). Jedynie z tą niedźwiedzicą mi się nie podarzyło, a to z powodu, że ciężko zgrzeszyłem przeciw zasadom myśliwskim, strzelając do piastuna, kiedy matka jeszcze żyła.

Jeszcze panu opowiem zajście niebezpieczne z odyńcem, co do którego stosują się także uwagi o zagadkowem zachowaniu się psów.

Słyszę gwar, ujadanie i naszczekiwanie w znacznem odemnie oddaleniu. Biegnę, ile płuca pozwalają i dostaję się na pagórek, z którego widzę pobojowisko. Wskakuję na kłodę, śledząc za najbliższą i najbezpieczniejszą drogą do odyńca. Widziałem nieraz psy z nieustraszoną walecznością rzucające się na dzika, lecz tej natarczywości, z jaką wtedy turbowały starego odyńca, nie widziałem nigdy i pewnie już nie zobaczę. Były chwile, w których przy uszach wisiały dwa psy, trzeci targał ogonem dzika, a czwarty, zaciąwszy zęby w szynkę, dawał się ciągnąć po ziemi. Istny obrazek, podobny do tych sztychów, przedstawiających królewskie polowania z oszczepem i dzidami. Biegnę ku odyńcowi, lecz on mnie pierwej zoczył i obces na mnie szuruje. Strzelam, trafiam w łopatkę i kula po za skórą przesuwa sią w szynkę. Zanim zdążyłem wymierzyć, aby strzelić powtórnie, już leżałem na ziemi... Szczęście, że mnie powalił nie kłem, lecz ciężarem swego ciała. Niedługo jednak czekałem na zemstę, psy bowiem zuchwalca przytrzymały i zastrzeliłem go sztofem za ucho.

Ten dzik, który psy do wściekłości pobudzał i szalonej odwagi, jak i kilka innych, nasuwają mi wielce zagadkowe pytania o polowaniach, gdyż przyczyn odkryć nie mogę i wyjaśnić powody. Otóż dlaczego psy jednego odyńca targają z wściekłością, od drugiego zaś stronią, lub go miękko i ostrożnie atakują? Niekiedy znowu najzaciętsze psy samury brać nie chciały, przed stadem uciekały, a nawet nie miały śmiałości do przytrzymania warchlaka? Te same psy szarpały odyńce, istne na psy katy, a za innymi goniły łańcuchem, udając, że nie mogą ich dogonić. Tu ani wiek, ani pole, ani wiatr psów roli nie grają, psy bowiem na oko gonią. Cóż może być za przyczyna tych dziwnych różnic w sposobie gonienia?

Pamiętam stadko dzików, pomykających z barłogu i uciekających przez dwie godziny przed psami, głoszącymi lecz nie zbliżającymi się. Goniłem za nimi na Dereszce i do strzału nie stanęły. Te same psy są to rycerzami to tchórzami. Czy jedne dziki wydzielają woń nieznośną psom, czyli też są dnie, w których pies bywa małodusznym? Nie można tego przecież wyjaśniać zachowawczym instyktem, widząc psy na kłach konające, a drugie z zapalczywością szarpiące dzika. Zaiste, to ciekawa tajemnica dla mnie. —

Cokolwiek pan Michał opowiadał, było prawdą. Nigdy się nie dał porywać wyobraźni, nigdy nie było przesady

w jego obrazach, kreślonych wiernie według tego, co podpatrzył w dzikiej i tajemniczej przyrodzie. Zgłębił on wiele tajników, poznał zwierzęta, ich zwyczaje i życie, żył w przyrodzie i rozkoszował w jej bogactwach. Zapatrywałem się na niego z podziwieniem i gorąco pragnąłem go naśladować, lecz niestety, ani jego przymiotów wyjątkowych do układania psów, ani też daru do oryentowania się w obszernych i niepoprzerzynanych lasach, wśród parowów, łomów i przepaści, nie posiadałem. Jego herkulesowa siła, wytrwałość i cierpliwość, obok podziwienia godnej słodyczy i swobody umysłu, podziw we mnie wzbudzały. W tych polowaniach nie było rozpiętych namiotów, kotłów, kociołków i licznej służby, nie było dojeżdżaczy na dziarskich koniach, ani pieczeniarzy i pijaków, nie było ostentacyi i parady, lecz było myśliwstwo wystudyowane na przyrodzie, praktyczne, nie kosztowne, a obfite w dostarczaniu zwierzyny, miłe i swobodne, zaiste godne naśladowania.

Dziś jeszcze, po trzydziestu latach, mam przed oczyma zacną postać pana Michała w fałdowanej kapocie, zażywającego niekiedy tabakę, z niebieską chustką, wystającą z kieszeni, z tym wyrazem łagodnym, wskazującym na jego życzliwość wrodzoną, cichego i myślącego, a tak znakomitego myśliwego. Zachowam mu do śmierci serdeczną pamięć. On to mnie nauczył, że w myśliwstwie wytwarza się braterstwo, nawet między ludźmi różnego stanu, odmiennych zdań, poglądów i zasad, różnego wychowania. Dążność do jednego celu, pomoc wzajemna, różna nagroda, te same trudy i prace, te z konieczności czynione zwierzenia — oto co łączy i obudza uczucia wzajemne. Nasze żony i matki, zamiast nas zachęcać do rycerskiego rzemiosła łowieckiego, wydawały mu wytrwale zawziętą wojnę, a szukając poparcia, głosiły i głoszą, że to szkoła niemoralności, pijaństwa, rozpusty, lenistwa i karciarstwa, że człowiek zamiłowany w myśliwstwie straconym jest dla rodziny, marnuje mienie i naraża dzieci na niebezpieczną przyszłość. Otóż pan Michał nic nie stracił na uczuciu, nie zmarnował majątku, użył w pełni życia, nikomu nie szkodząc, miał czas na wszystkie swe zatrudnienia i zostawił po sobie miłe wspomnienia, oraz i pomnożony majątek.

Jak żył tak i umarł, oddając ze spokojem Bogu duszę, nie skalaną żadnym ciężkim grzechem. W r. 1856., w późnej jesieni, podjeżdżając ulubione siewki, zaziębił się, począł mocno kaszleć, flegma go dusiła i brak był oddechu, więc się często dusił i już z izby nie wyszedł. W tym czasie nie bawiłem na Podolu, nic nie słyszałem o pogorszeniu się zdrowia miłego i pożytecznego towarzysza i niestety, dosyć późno dowiedziałem się o jego śmierci. Z opowiadania wiem, że w domu jego do czasu zgonu nic się nie zmieniło. Pan Michał na parę godzin wstawał, szedł do ulubionego krzesła, jamniki noski o piec grzały, Bekas, już bez zębów, ślinę toczył i mruczał, nareszcie nasz myśliwy jednego dnia westchnął i do trzęsącej się Katarzyny, która go w swej poczciwości nie odstępowała, powiedział: „Boże mój, jakże mi ciężko na piersiach." Przeżegnał się krzyżem świętym, ręce do modlitwy złożył, westchnął głęboko, zacharczał i swe bogobojne życie zakończył. Katarzyna mu oczy zamknęła, pokropiwszy zwłoki święconą wodą, kanarki zaśpiewały marsz żałobny, gile fletowymi tonami zaintonowały *„de profundis"*, psy zawyły, Dereszka zarżała, Filuś z podpartą rękoma głową zawodził od płaczu, trzymając wiernie grzebień i charapnik mu powierzony, a Grześ w rozpaczy życie sobie chciał odebrać, ledwie mu strzelbę odebrano. Jedynie Paraszka, *hic mulier*, łzy nie uroniła. I grobowa cisza zapanowała w tem obejściu myśliwskiem — zostało tylko wspomnienie w gronie znajomych i krewnych. Pan Michał uposażył suto Katarzynę, stojącą już i tak nad grobem, zabezpieczył przyszłość Grzesiowi, koniem zaś i psami nie rozporządził.

Gdy do domu powróciłem i tę smutną wiadomość otrzymałem, posłałem do Grzesia z zapytaniem, czy chce służbę u mnie przyjąć, lecz mi sucho kazał odpowiedzieć, że on już drugiemu panu służyć nie będzie. Filuś poszedł między ludzi, Katarzyna umarła pod wiosnę, psami musiał Grześ rozporządzić, bo dopytałem tylko jednego gończaka, Dereszki nieoszacowanej odszukać nie mogłem, zginęła gdzieś między żydami — i tak żadnej pamiątki po dzielnym myśliwcu nie otrzymałem.

Niech panu Michałowi będzie lekką ziemia, a niech ten krótki życiorys przechowa jego pamięć i zachęci, o ile nasze dzisiejsze stosunki na to pozwalają, do naśladowania tego zręcznego i wytrwałego myśliwego, który ze szkodą potomności nie spisywał epizodów, zdarzeń wyjątkowych i niespodzianek myśliwskich w długoletnim swym zawodzie. W literaturze naszej jest tak mało publikacyj dla myśliwych, tak skąpo karmy dla ludzi kochających myśliwstwo a lubiących czytać, że mam odwagę podać publiczności to wspomnienie, nie posiadające wartości. W wieku podeszłym lubuje się umysł wspomnieniami przeszłości; pamięć skacze po bałwanach ruchliwego życia, pieści niektóre wypadki, to znowu ze wstrętem odrzuca inne, charakteryzuje ludzi im towarzyszących — i tak wytwarza się łańcuch miłych epizodów, złączonych w obraz minionej epoki. A z tych zabytków żywej pamięci, w szeregu licznych lat, gromadzą się wspomnienia za wspomnieniami, tworzą album życia, z którego kartki są pożywieniem duchowem, rozrywką, a częstokroć i pożytkiem dla towarzyszów.

ROZWÓJ I ZNACZENIE MYŚLIWSTWA.

Według

M. HOHENBERGA.*)

(Dokończenie.)

Pierwsze przepisy o ochronie zwierzyny pojawiają się już za czasów Karola Wielkiego. Odnoszą się one do jelenia, poczytywanego za najszlachetniejsze zwierzę łowne. Oprócz surowych postanowień, kto, gdzie i w jakich rozmiarach upoważnionym był polować na jelenie, wydał Karol Wielki w swoim „*Kapitulare*“ rozporządzenie, że łowy na jelenia można urządzać jedynie w mroźnej porze zimowej i z ograniczoną liczbą psów.

Najcelniejszem zwierzęciem, na które po jeleniu najczęściej i z pewną namiętnością polowano, był dzik. Przy rozmaitych uroczystościach odgrywało pewną rolę osadzanie wielkiego odyńca przez psy do tego włożone, i ubijanie go kordelasem myśliwskim. Przy ucztach wnosili też pachołcy na stół pieczonego w całości dzika — choćby niewiedzieć jak był wielkim — ubrawszy go poprzednio wieńcami z dębowego liścia lub choiną. Nieodzownem daniem uczt myśliwskich były również niedźwiedzie szynki, którym przypisywano własność podniecania myśliwskiego wigoru, zapewne dlatego, że trzeba było po nich niejeden puhar dla konkokcyi spełnić.

Nadzwyczaj wielki przewrót w całem myśliwstwie spowodowało zaprowadzenie broni palnej. Przedtem każdą zwierzynę w wyższych łowach osaczano lub osadzano psami i ubijano oszczepem czy kordelasem. Co się zaś tyczy drobnej zwierzyny i ptactwa łownego, to używano do łowów wielkiej „sieci lotowej“, rozjazdu, czyli t. zw. „tyrasa“ i długowłosych wyżłów hiszpańskich, które, po nakryciu siecią, dusiły znajdujące się pod nią ptactwo lub szaraka. Ten peryod przejściowy z myśliwstwa dawniejszego do myśliwstwa, opartego wyłącznie na broni palnej, jest wielce pouczającym. W pozostałych z owego czasu rycinach i opisach, widzimy początki zażycia psów jako legawców, które wietrzą całe stadko kuropatw lub przepiórek i kładą się potem, aby swemu panu dać czas do zaciągnięcia rozjazdu. Podczas gdy pierwej oszczep i kusza grały główną rolę jako broń myśliwska, a z psów brytany i ogary, to po wynalezieniu broni palnej biorą górę bardzo szybko myśliwskie „samopały“ czyli „puszki“, a w rzędzie psów legawiec przychodzi do właściwego znaczenia.

Dużo jednakże upłynęło czasu, zanim broń palna przypadła myśliwcowi do ręki, a choć jej na wyższą zwierzynę używał, polowanie na drobną zwierzynę i ptactwo odbywało się jeszcze zawsze zapomocą samołówek, sideł i sieci. Dopiero w miarę wydoskonalenia broni palnej wytwarzało się myśliwstwo w dzisiejszej swej formie, oddziałując także na zmianę zażycia psów i ich ras. Ciężkie brytany i ogary ustępują miejsca lotnym chartom i lekkim gończakom, których przeznaczeniem jest wypędzać zwierzynę na stanowisko myśliwca. Polowanie na niedźwiedzia, jelenia lub odyńca nie polega jedynie na osaczaniu lub osadzaniu zwierza przez psy, tak, aby w niego myśliwiec dopiero oszczepem godził; zdala, ze stanowiska posyła on im lotny pocisk z samopału. Łowy na jelenia na podchodne, na rykowisku, z tropowcem na sforze, oto szlachetna forma myśliwstwa, która wchodzi w życie. Z pomocą wielu wiadomości z nauk przyrodniczych, z opisów polowań i podróży wytwarza się istna umiejętność polowania, a myśliwy nabiera właściwej mu cechy łowcy, miłośnika natury i ochrońcy zwierząt łownych.

Zanim jednak myśliwstwo przyszło do właściwego rozkwitu, musiało przebyć i chwilę upadku. Przypada on na czasy wojny trzydziestoletniej i parę dziesiątków lat po niej. W porównaniu z tem zupełnem zaniedbaniem, w jakie myśliwstwo podówczas popadło, należy peryod późniejszy nazwać złotym wiekiem myśliwstwa.

W peryodzie tym wyprawianie łowów, a mianowicie na grubą zwierzynę, będąc zawsze prerogatywą panujących, odbywało się z przepychem i okazałością, jak w swoim czasie turnieje. Niezmierne knieje zaczęły się znowu zapełniać szlachetną zwierzyną, pielęgnowaną jak najstaranniej przez łowczych i liczną służbę łowiecką, w zimię rozwożono po lasach karmę dla zwierząt, a gdy stan zwierzyny wzmógł się, zarządzano łowy. Naówczas nie setki lecz tysiące naganiaczy, obstawiwszy znaczne obszary leśne, spędzały krok za krokiem zwierzynę w coraz ciaśniejsze ostępy, które do polowania obrano. Całymi dniami i nocami odbywała się ta nagonka, a znacznego wysilenia i licznych fortelów trzeba było, aby zapobiedz wyrywaniu się przerażonej zwierzyny po za linię naganiaczy. Wedle opisów współczesnych, tworzyła się nad zganianą zwierzyną cała chmura wyziewów i pary, a gdy ją wiatr na pola uniósł, wydawała się chmurą morowej zarazy i dusiła oddech w piersiach.

Spędzoną w ten sposób, zastraszoną i jak gdyby jakimś szerzącym się pożarem leśnym rozdrażnioną zwierzynę, wypuszczano w oznaczonem miejscu całemi hurmami. Tutaj były już wszelkie przygotowania do świetnej hekatomby. Na okazale przystrojonych stanowiskach, na wzgórzach i w umyślnie na ten cel budowanych pawilonach, stali goście książęcego władzcy łowów, panowie i strojne damy i strzelali bez ustanku do pędzącej w szalonych skokach zwierzyny, tak, że całe góry ubitego zwierza były wynikiem tych łowów. Szczególniej z czasów Augusta Mocnego, kurfirszta, a później króla polskiego, pozostały opisy takich, nad wyraz wspaniałych uroczystości myśliwskich. A lubujący się w przepychu książę, urządzał dość często łowy we wielkim stylu.

Lecz i temu złotemu wiekowi myśliwstwa położyły koniec późniejsze wojny, a mianowicie wojny Napoleońskie.

Dla prawdziwego myśliwego nastały teraz czasy, różniące się we wszystkiem od minionej przeszłości. I chociaż

*) Patrz Nr. 9. „Łowca“.

urządzano wspaniałe polowania *par force* lub z nagonką, przecież zwrócono powszechnie uwagę na ochronę zwierza, a tem samem ograniczono sposoby i rozmiary polowań. To też każdy rodzaj pożytecznej zwierzyny mnożył się, wytworzono piękne ostoje i bogato urządzone zwierzyńce, w których nawet obce gatunki zwierząt łownych starano się przyswoić. Równocześnie rozszerzała się i namiętność myśliwska, idąc w parze z rozszerzeniem prawa polowania, szczególnie co do łowów na drobną zwierzynę. Lecz niestety, stan ten kwitnący jeszcze raz uległ wielkiemu upadkowi, a to mianowicie skutkiem radykalnych zmian społecznych przed czterdziestu laty, i dopiero teraz, na podstawie całkiem przekształconych warunków posiadania i opartej na nich jeszcze większej swobody polowania, podnosi się znowu myśliwstwo do wyżyny dotąd nie bywałej, stając się w całem tego słowa znaczeniu ekonomicznym czynnikiem w życiu narodów.

Zmiana ta pociągnęła za sobą równomierne podniesienie się wszystkiego, co tylko z myśliwstwem stoi w związku. Udoskonalenie broni myśliwskiej, tak co do pewności i donisłości strzału — podniesienie i uszlachetnienie hodowli psów myśliwskich — rozszerzone, z powodu większej ilości myśliwych, pielęgnowanie i zaprowadzanie zwierząt łownych w takich okolicach, gdzie ich przedtem nie było — mnożenie służby leśnej — wszystko to podnosi dzisiejsze myśliwstwo do wyższego ekonomicznego znaczenia.

Jeżeli ujmiemy np. w cyfry wartość myśliwstwa w Przedlitawii, to otrzymamy roczną cyfrę przeszło 14 milionów. Ochrona, utrzymanie i nadzór łowiecki zatrudnia 30.000 służby leśnej, której utrzymanie, wraz z czynszami dzierżawnymi za polowania itd., wynosi blisko 10 milionów. Wartość zwierzyny, ubitej w prowincyach przedlitawskich, można przyjąć na 2 $^1/_2$ do trzech milionów rocznie. Zarobek puszkarzy, fabryk broni i patronów obliczony na milion; tyleż możemy śmiało położyć na zużyty proch i ołów. Mamy więc roczny obrót, odpowiadający kapitałowi 250 milionów. W Anglii, gdzie sport myśliwski na wysoką stopę jest prowadzony, wynosi on pięćdziesiąt razy tyle.

Jak więc widzimy, twierdzenie tych, którzy myśliwstwo uważają jedynie za kosztowną zabawkę, nie przynoszącą nikomu właściwego pożytku, nie może się ostać wobec tak wymownych dat. Owszem, rozszerzanie się myśliwstwa i coraz troskliwsza ochrona zwierząt łownych, łączy się ściśle z dźwiganiem rozmaitych czynników, mających swe znaczenie ekonomiczne. Tym zaś, którzy utrzymują, że rozszerzanie się myśliwstwa przynosi szkodę rolnictwu i gospodarstwu leśnemu, nietylko co do ich ekstenzywności, lecz także co do intenzywnego systemu gospodarowania, posłuży za odpowiedź ten fakt niewątpliwy, że tam, gdzie myśliwstwo wysoko stanęło, a łowiec stara się racyonalnie o utrzymanie zwierzyny pożytecznej a tępienie szkodliwej, także rolnik i leśnik największe mają dochody.*) *St.*

Z letnich wycieczek 1886—1888.

przez

ALEKSANDRA UBYSZA.

(Dokończenie.)

II.

Nulla dies sine linea, postawiłem sobie za główną dewizę w czasie tej mojej krótkotrwałej wycieczki. Toż iście, niby dziad żebrzący, włóczyłem się po różnych stronach bez przestanku.

— Może byśmy pojechali do Rawy? — mówi do mnie młodszy pan Poraj.

— I owszem — odpowiadam — miałem bowiem niezmyśloną chęć poznać rawską okolicę, a co najważniejsze, rawskie góry, które znałem dotąd tylko z oddali.

— Tym razem — mówi pan Poraj — nie pojedziemy własnymi końmi, tylko „pocztą“.

Co właściwie ową pocztę oznaczać miało, nie pytałem. Na hasło „siadajmy“, wychodzę — stoi wózek węgierski. Dwa chłopskie koniki, na koźle chłop niepocześnie wyglądający - to była „poczta“.

Było nas trzech: dwaj panowie Poraje i ja. Manaszko (tak się zwał nasz woźnica), choć wyglądał niepocześnie, był przecież nie lada jaką osobą. Śmiało nazwać go było można żywą kroniką i geografem całej Ziemi bełzkiej. Każdą wieś znał po nazwisku. Drogi, drożynki, nawet mostki znał wybornie i nie zabłądził choćby wśród najciemniejszej nocy. Dla mnie taka osobistość była nieocenionym skarbem. Toż korzystałem, ile się dało, wyciągając słowo po słowie z małomownego Manaszka.

Otóż i droga do Uhnowa, którego jadąc do Rawy nie sposób wyminąć. Droga wiedzie szczytem wzgórz. Jakiż tu dokładny przegląd na całą okolicę po za Sołokiją! Dawniejsze błota bełzkie widać w całej rozciągłości — szkoda tylko, że przestały być tem, czem były! Zdala widnieją ciemne lasy Choronowa, Wolicy, i t. d. Gdzieniegdzie czernieje kupa drzew, to wieś. A wszystko płaszczyzna o piaszczystym, moczarowatym gruncie, prawdziwy początek Polesia. Jak tu wyglądać musiało przed paruset laty, gdy się lasy ze sobą łączyły? Jaki zwierz przebiegał te zapadłe, omszone knieje? Nie inny, mniemam, jak dzik, wilk i — łoś. Ostatni, po wycięciu olszyny, której pnie olbrzymie dosadne

*) Piękne prace o stosunkach myśliwskich w dawnej Polsce ogłosił „Łowiec“ w poprzednich swych rocznikach, a mianowicie w roku 1878. A. W. Maciejowskiego „Łowy w Polsce do XVII. wieku“, w r. 1885. C. Kochanowskiego „Przyczynek do historyi łowiectwa w Polsce“, w r. 1886. S. Morawskiego „Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich“, w r. 1887. A. Ubysza „Kilka słów o myśliwstwie dawnem i teraźniejszem“ i t. p.

dają świadectwo o istnieniu gęstych i dużych lasów olszowych — został wybity przez myśliwych, lub wyniósł się aż ku właściwemu do dziś dnia zapadłemu Polesiowi. Olszyna bowiem, a mianowicie młode jej pędy i kora, stanowi główny żer łosi w porze zimowej. Z brakiem olszyny i z osuszeniem bagien i jezior leśnych brakło i tej zwierzyny. Że dawnemi laty były w tych stronach łosie, poświadczają rosochy w stanie skamieniałym, znachodzone w tych stronach, a mianowicie na błotach bełzkich i w okolicy wsi Sałaszów.

Z tej dziedziny dawnych borów i błót smutek wieje. Konięta szły żółwim krokiem po piaszczystej drodze, towarzysze podróży milczeli jak Kameduli, nic mi nie przerywało wędrówki mojej w przeszłość. Wtem głośny świst lokomotywy zbudził mnie z tej zadumy.

— A to co! — mimowolnie zawołałem.

— Przecież za lasem jest droga żelazna Jarosławsko-Sokalska — odpowiedziano mi nie bez odcienia politowania nad mojem roztargnieniem.

Wyznam otwarcie, że zbudzony zostałem jakby ze snu. Śniłem na jawie o łosiach, przemykających ciemnym olchowym lasem, jak pragnąc wyminąć zasadzki myśliwych, ruszyły na trzęsawiska. Chwieje się, ugina moczarny grunt pod znacznym ciężarem tych rosłych zwierząt. Nie baczą na to. Łopaciaste swe rosochy na grzbiet położywszy, w pół skulonej postawie, rozszerzając olbrzymie swe racice kroczą naprzód posuwiście. Dobrawszy się nurtów rzeki, przeszły ją w pław. Co dalej nastąpić miało — nie wiem; świst lokomotywy rozwiał marzenie. Leśniczowie i chłopi opowiadali, że zabawne sceny odbywały się w chwilach, gdy pierwsze świsty lokomotywy w tych lasach głośnem odezwały się echem. Sarny, zające, a nawet ptactwo leśne, wypłoszone uganiało po polach w największym przestrachu. Obyły się jednak z czasem, i dziś spostrzedz można stadka sarn ciekawie przypatrujących się pędzącym wagonom. Ani świst lokomotywy ani szum kół rozlegający się po lesie już ich nie płoszy.

Knieje w tej stronie ziemi bełzkiej leżą na wyżynach, to też ich typ odmiennym jest od owych o płaskim i moczarnym gruncie. Lasy w tej stronie przeważnie liściaste lub o mięszanym drzewostanie. W lada lasku, osobliwie gdy posiada źródełko, a podszyty chrustami, napewne napotkasz stadko sarn, zajęcy kilkadziesiąt, a ptactwa przeróżnego ilość nieprzebraną. Bliskość pól o wybornej żyznej glebie, różnem obsianych zbożem, zachęca do zakładania pieleszy. Rankiem i wieczorem odzywają się tu przeróżne spiewy, co czyni gwar nie do określenia. Jakże to odmiennie w borach szpilkowych, na gruncie moczarowatym! Poważnie tam, cicho i smutno. Nie usłyszysz wesołych spiewów ptasząt, które unikają takich głodnych miejsc.

Lasy w tej wyższej stronie ziemi bełzkiej, na całej swej przestrzeni aż ku Kongresówce, to z małemi przerwami pasmo olbrzymich borów, bezpośrednio stykających się z lasami ornynackiemi gubernii Lubelskiej. Z tych wielkich borów całemi niekiedy bandami, nie mając nawet paszportu, przechodzą wilki przez granicę. Zawołany myśliwy pan Ł. opowiadał mi, że przez lasy jego majątków Wareża i Uśmierza, położonych tuż przy granicy Polski Kongresowej, wilki uczyniły sobie rodzaj stałego gościńca w zbójeckich pochodach na naszą stronę. Pan Ł. urządza na nie czasami obławy i zasiadki.

Dawniej, kiedy to błota bełzkie w całej swej groźnopięknej były postaci, naocznie pokazywano mi ścieżkę w śniegu, wydeptaną przez wilki prosto z Stajskich lasów, środkiem przez zamarznięte błota, ku zasołokijnym lasom wiodącą. Niegdyś podobna przeprawa groziła utonięciem w nigdy nie zamarzających „oparach", „oknach" lub jeziorkach. Dziś, po osuszeniu, nie przedstawia pochód żadnego niebezpieczeństwa nawet sarnom lub dzikom. Wszystkowiedzący Manaszko zaręczał też, że corocznie widać tropy wilcze w stronę ku lasom Bełza, Waniowa, Prusinowa, Kuliczkowa, Wolicy i Mostów wielkich.

* * *

Wjeżdżamy do Uhnowa. Taki samiutki jak przed laty trzydziestu, z wyjątkiem okazałej cerkwi, zbudowanej, lat temu 20, przez szewca Ulanowskiego. Zresztą owe kramy rzędem poumieszczane na podsieniach domów żydowskich — ów ratusz, a raczej prosta karczma, która się tylko skuliła od wieku — wszystko tak jak było. Popasłszy konie, ruszyliśmy dalej ku Rawie.

Okolica tu dość piękna, gleba żyźna aż po las, będący własnością kilku majątków, Poddubiec, Dynisk, Machnowa, Wierzbicy i innych. Środkiem boru wiedzie prosta jak strzelił droga, w milowej blisko długości. Grunt tu moczarny a w części piaszczysty. Gdyby nie las i w prostej linii z drogą kolej żelazna, droga po piaskach aż po osie, śród lipcowego skwaru, byłaby monotonną. Dla ulżenia koniom i własnej przyjemności, całą tę długą przestrzeń przeszedłem pieszo, mimochodem zbierając borówki i przypatrując się mnóstwu wiewiórek, zwinnie z drzewa na drzewo przeskakujących. Nareszcie ujrzałem główny cel mojej podroży, Rawę, a względnie łańcuch gór w pobliżu miasta. Geograf Manaszko znał wszystkie wsie po jednej i drugiej stronie gór. Pasmo gór tych, dość strome, sosnowemi porasta lasami, a składem swym przedstawia się jakby rodzaj olbrzymiego wału ziemnego, pionowo na równinie usypanego. Na całej przestrzeni od Zniesienia i lwowskiego Wysokiego zamku aż ku ich końcowi w okolicy wsi Radruża, były te góry widocznie brzegiem morza, o który uderzały spienione jego fale. Góry te Rawa i okolica nazwała „Wałkowiec". Zdaniem mojem, ze względu na ich kształt, jest to najstosowniejsza dla nich nazwa. Postanowiłem przebyć te góry i zbadać ich stoki. „Jedź!" mówię do Manaszka. Manaszko poskrobał się w głowę, bo do gór nie nawykł, lecz targając lejcami, wywijając młynka króciuchnym biczem, lub uderzając takowym nie po koniach lecz po orczykach, ruszył. Droga poczęła być przykrą, gdyż wiodła pod stromą górę, w dodatku piaskową.

— Ej proszu pana — mówi Manaszko — za czim u łycha jidemo po takich horach i wertepach?

Podobne zapytanie czynił sługa młodemu swemu panu w komedyi Fredry „Nowy Donkiszot". Ów pan w komedyi odpowiedział patetycznie: „Dla sławy" — ja zaś z wszelką efronteryą rzekłem: „Dla wiedzy". Mina którą zrobił chłop na tę odpowiedź, wszystkich nas do homerycznego pobudziła śmiechu.

Widok gór dość stromych i skalistych, w dodatku szpilkowym lasem porośniętych, miłe wzbudził we mnie wspomnienie gór Ziemi sanockiej. Jednakowoż jakże odmienny w rzeczywistości jest ich typ! Miesiąc lipiec, skwar słońca, mimo północnego stoku, spalił i tak skąpą wegetacyę na tej piaszczystej, wrażliwej na słońce glebie. Trawy, zioła, nawet sosny żółtawy mają kolor. Strumyków brak na tych suchych z natury górach. Gdzieś tam z głębi załomów wytryskać mają rzeki Rata i Sołokija w postaci skromnych źródełek. Bardzo to mało jak na północny, a więc z natury obfitszy w wodę stok. Miejscami znaczne plichy bez traw

i drzew, lśnią od słońca kamieniem wapiennym lub białym i suchym piaskiem.

To też owe góry rawskie nie nazbyt bogate w zwierzynę. Główną tego przyczyną jest niewielka ilość zdrojów i dzikość a raczej jałowość gruntu, skąpo porastającego trawami i ziołami, niemniej i drzewostan lasów jedynie sosnowy, żadnego jak wiadomo nie dający pożywienia. Północne stoki tych gór mają wprawdzie lepszą glebę u podnóży niż na szczycie, lecz od miejsc lasem porośniętych, w których przebywa zwierzyna, przestrzeń nazbyt odległa, ażeby sarny aż tam na żer dążyły. Nawet zając unika miejsc podobnych; dlatego sądzę, że i na tych górach skąpo ich być musi.

Lecz przejdźmy na południowe stoki, ku którym właśnie zjeżdżamy — nie! zlatujemy, a właściwie zlatuje nasz wózek, gdyż wszyscy trzej szliśmy pieszo. Hamulca nie było, konie nie pokiełznane, toż Manaszko, ująwszy za przedni koniec dyszla, czem prawdopodobnie pomagał powstrzymywać wózek w szalonym pędzie, obróconem w górę biczyskiem koniom przed oczami wymachiwał, co je zmuszać miało do powstrzymywania bryczki. Mało to jednakże pomagało — nie przywykłe do stromych gór konie, szybkim pędem popędziły ku dołowi — na szczęście bez żadnego przykrego wypadku.

Cóż za dziko-malownicza okolica, jakież zacisze, ze wszech stron otoczone porośniętemi lasem górami! „Wałowiec“ otaczał ją od północy, od strony zachodniej zaś, wschodniej i południowej, w dwumilowem może oddaleniu, widniały znowu góry, a na nich knieje niepoślednich rozmiarów. W istocie, czarowna to w swoim rodzaju, odcięta od ludzi okolica. Zachwyci się nią entuzyasta, spostrzegający co chwila piękne widoki — ale rolnik przeklnie, bo nieurodzajna z swemi piaszczysto-kamienistemi rolami i chudemi łąkami. A myśliwy?... „Dziad myśli o chlebie, a baba o fiołkach“ — mówi ludowa przypowieść. — Słuszne mając prawo do pierwszej godności, ze wstydem wyznam, że bynajmniej nie zachwyciłem się tą ubogą, odludną, choć tak uroczą okolicą. Najpiękniejsze jej miejsce stanowi widniejący w oddali „Zamek“, będący prawdziwym, starym, lecz bardzo starannie utrzymywanym zamkiem, należącym do ordynacyi hr. Siemieńskich-Lewickich. Na tle dzikiej okolicy, pysznie on wygląda.

Cała kilkunastumilowa przestrzeń, którą tu okiem przejrzeć można, jest bardzo mało zaludniona. Naliczyłem pięć ubogich małych wiosek, poukrywanych jak to mówią po dziurach, najczęściej pod lasami i debrami. Biedniejszej okolicy trudno sobie wyobrazić. Nawet paszy dla nikłego z natury bydła, poskąpiła tu matka przyroda. Ze wszech stron górami osłonięta, w posuszne osobliwie lata, cierpi okolica ta wiele od promieni słonecznych, które padając na glebę, składającą się z grubego piasku i kamieni wielkości pięści, rozgrzewają ją do tego stopnia, że bujniejsza wegetacya roślin jest niemożliwa. Pokład rodzajnej ziemi jest tak cienki, że już kilko-calowe zagłębienie pługa dobywa na wierzch okrągły wapnisty żwir, będący podkładem pól tamtejszych. Tu po raz pierwszy w życiu ujrzałem orkę starożytnemi sochami. O narzędziu tem wspomina dawna przypowieść:

Kto ma żonkę Barbarkę
I siewa tatarkę,
A sochami orze,
Nie pytaj go jak się ma,
Lecz: „czy żyjesz nieboże?“

Jednaże nie rolnictwo ale myśliwstwo gnało mnie tutaj. Pragnąłem tedy dowiedzieć się mniej więcej o stanie zwierzyny łownej w dużych lasach tej okolicy. Pytałem o to leśnego lasów Ulicka. Ten mi odpowiedział, że jest kilka stad sarn, lecz je co zimy dziesiątkują bandy prawdopodobnie z za kordonu i Bóg wie zkąd przybywających tu wilków. Latem zjawiają się niekiedy i porwą kilka sztuk inwentarza, za to w zimie jawią się regularnie, łowią sarny, a potem w inne pod-Janowskie ruszają strony, żeby znowu tędy do gniazdowych lasów nad- i za-kordonowych powrócić. Rzecz to bardzo prawdopodobna, zważywszy, że Galicya i w tej stronie granicy dużemi lasami z Kongresówką, a takie knieje jak n. p. Dachnowskie, bezpośrednio z lasami za-kordonowemi Krasnobrodu, Książpola, Tarnogrodu się stykając, ułatwiają wilkom zbójeckie ich pochody. Co do wód, to i na południowym stoku „Wałowca“, na przestrzeni dwumilowej, nie spostrzegłem więcej jak dwa potoki z głębi tych górzystych lasów płynące. Leśny zaręczał mi, że po stajeniu śniegów, albo po gwałtowniejszych deszczach, prędko nikną wody, ni śladu po sobie w lasach nie pozostawiając. Dla braku więc wody, sądziłbym, że i w tych kniejach, rysujących się tak pięknie na stromych szczytach gór, nie wiele jest stale przebywającej „rochmannej“ zwierzyny. Obfitego żeru, w postaci oziminy zimowych a nawet letnich rzepaków, dostarczyłoby może wzorowo prowadzone gospodarstwo rolne w Ulicku, ale brak wody ujemnie wpływa na rozmnażanie się zwierzyny, osobliwie sarn, które jak wiadomo, dużo jej zimą i latem potrzebują.

Jakże odmienna postać tych tu gór w porównaniu z Sanockiemi, Stryjskiemi, Samborskiemi lub Jasielskiemi! Mnóstwo zdrojów tamecznych, wreszcie buki, dające wyborny żer sarnom i dzikom, umożliwiają zwierzynie należyte utrzymanie i szybki rozrost. O ile się dowiedziałem, dziki tylko pojawiają się niekiedy w wyłącznie sosnowych kniejach „Wałowca“. Brak dębiny a tem samem i żołędzi, nie nęci ich do obioru miejsc tych na stałe leże.

* * *

Minęły dwa lata. Wybudowano tymczasom kolej Lwowsko-Żółkiewską. Nie potrzebowałem więcani fiakra lwowskiego, ani Manaszki.

Koń, chociażby już stary, gdy go wywiedziesz na pola, przypominające mu step rodzinny, ożywia się chwilowo, nozdrzami chwyta wiatr — jak mówią — bo przypomina mu to młodość, swobodę i różne budzi w nim wspomnienia. Nie dziw przeto, że i człowiek, którego zgnębiły „lata i tarapata“, a w dodatku ciężka choroba, iż zaledwo dusza w ciele kołace, wyjechawszy w rodzinne strony, dziwnie miłego a niejako ożywczego doznaje uczucia. Wtedy duch zapanowuje nad wątłem ciałem.

Tego samego doświadczyłem i ja. Za poradą lekarską, iż jedynie uzdrowić mnie może to, o czem już mówił Mickiewicz: „szum i woń rodzinnych sosnowych lasów“, zebrawszy naprędce moje utensilia, pospieszyłem na kolej Bełzko-Żółkiewską, by odetchnąć ową rodzinną uzdrawiającą wonią sosen. Pierwszy raz w życiu jeehałem w rodzinną ziemię Bełzką temi właśnie stronami, któremi kolej poprowadzono, pilnie się im więc przypatrywałem. Od Brzuchowic długa i dość szeroka roztacza się równina. Miejscami wertepy, które poczyniła woda, gleba piaszczysta, jałowa, a porośnięta wyłącznie sosnowym lasem. Dla zwierzyny, osobliwie sarn i dzików, nie bardzo korzystne ostoje, bo głodne. Latem przebywać one tam muszą niekiedy, bo plony ról dostarczają im pożywienia. Lecz skoro spadną śniegi, jak tu nie uciekać dzikom z tych stron, zimą tak niewdzięcz-

nych?... I sarna zmuszoną jest w pewnych porach roku okolice te porzucać. W czasie letnich skwarów, gdy do szczętu wyschną kałużki, lub nieliczne zdroje na tej wysoko leżącej, piaszczysto-marglowej płaszczyźnie, nie może się sarna samą rosą zadowolnić. Do ugaszenia pragnienia potrzeba jej wody, a skoro tej zabraknie, i najobfitszą w żer knieję porzuca.

Razem ze mną jechał w wagonie jegomość jakiś, który, jak mówił, dobrze znając tę okolicę, przyznał słuszność twierdzeniom moim, że strony te nie bardzo obfite w zwierzynę.

— A kuropatwy? — zapytam.

— Trafiają się, lecz mało - odpowiedział.

Bardzo naturalnie. Kuropatwy w locie nie wznoszą się nader wysoko, nie naciągną więc z innych niżej położonych okolic na tę wysoko leżącą płaszczyznę. Gdy trafi się tam stadko, a szczęśliwym trafem ni zwierz drapieżny ni człowiek go nie zdziesiątkuje, natenczas po łagodnej zimie czas pewien więcej parek się „pieleszy“, i stąd większy lub mniejszy stan kuropatw, ściśle miejscowych.

Alboż kuropatwy wędrują? — zapyta ktoś. Wędrują, lecz ma się rozumieć nie sposobem bocianów, słonek i innych ptaków przelotnych. Zimujące u nas ptaki osiadłe nie przedsiębiorą wędrówek w skutek instynktu wędrownego, lecz częstokroć burza, porwawszy je w swoje ramiona, w inne dalsze zanosi strony. Częstokroć jastrząb, spłoszywszy stadko kuropatw, zmusza je do dalszego a niskiego nad ziemią lotu. Gdy zaś przybyła z jakichbądź przyczyn zwierzyna, znajdzie dla siebie korzystne warunki, wnet się osiedla i pieleszy. Ztąd częstokroć ze zdziwieniem spostrzegamy w pewnych okolicach gatunki krajowych ptaków, których przedtem nigdy tam nie było. I zwierzyna czworonożna przedsiębierze podobne wędrówki. Są one jednak rzadsze i nie tak dalekie, jak u ptaków, tych żeglarzy powietrznych, którym z taką łatwością mil kilkadziesiąt ulecieć przychodzi.

Te i tym podobne robiłem uwagi, lub odpowiadałem na zapytania kilku towarzyszom podróży. Nie znałem ich, lecz znaleźliśmy się jak „w korcu maku“, bo oni mnie a ja ich rozumiałem, i pomimo sprzecznych niekiedy naszych zdań, jak najlepsza pomiędzy nami panowała zgoda. Ja — schorowany, zgięty we dwoje, kaszlący — prawdziwie jak stary koń gdy zoczył step — na widok pól i lasów zapomniałem na chwilę o wszelkich dolegliwościach. Gadu, gadu! a lokomotywa, jakkolwiek nie nader szybko pospieszająca, wnet głośnym świstem objawiła przybycie do dworca żółkiewskiego, leżącego uroczo tuż u stóp historycznego Haraju.

Odtąd poczyna się inny świat, same równiny. Byłyby okiem nieprzejrzane, gdyby je nie przerzynały sosnowe bory. Jałowy, piasczysty i w znacznej części mokry tu grunt. Jakiej zwierzyny tu szukać? Dzików i sarn, bo mnóstwo borówek, jeżyn, rydzów i innych grzybów, co było widać z okien wagonu. Osobliwie borówki i jeżyny gęsto pokrywały grunt zwartego i rzadkiego lasu — a wszystko to dla sarn i dzików smaczne pożywienie. Prawdopodobnie w znacznym kompleksie lasów Rawy, Machnowa, Poddębiec, osobliwie w stronie, gdzie jeszcze ciemne nieprzetrzebione gąszcze, cietrzewi spodziewaćby się należało. Wymienione bowiem jagody są ich żerem przez całą zimę. Czy są tam cietrzewie? raczą bracia w Hubercie uwiadomić „Łowca“.

Zajęcy w tym roku mimo spóźnionej „parkotni“ ma być dużo. Zato przepiórek ma być bardzo mało. Co temu przyczyną? Prawdopodobnie rozszerzający się rabunek kłusowniczy Włochów i Greków. Przepiórki w czasie odlotu i powrotu do Europy krociami, jak wiadomo, zapadają na przybrzeżach morskich, i są wtedy tak znużone podróżą, że mieszkańcy przymorscy z największą łatwością sieciami a nawet rękami je chwytają. Opad przepiórek uważa się tam za dar boży, za rodzaj manny, którą zbiera kto żyw. Otóż ten łatwy rabunek musiał się teraz wzmódz. Sam przypominam sobie, że nie więcej jak przed 26 laty znacznie więcej bywało przepiórek. Dziś w całym kraju skarżą się myśliwi na znaczny ich ubytek.

...Lecz spostrzeżenia, uwagi i marzenia zamilkły i znikły. Lokomotywa świsnęła znowu i dotknąłem stopą mych pól rodzinnych, znanych mi i tak ukochanych borów sosnowych, ażeby się karmić ich szumem i wonią.

KORESPONDENCYE.

Cieszanów 1. listopada.

(Niezwykłe zdarzenie.)

„Być to może, lecz ja to między bajki włożę“, powtórzy niejeden z czytelników, gdy zechce odczytać wypadek, jaki miałem w dniu 26. października b. r.

Na dniu wspomnianym polowaliśmy w 4 strzelby z dwoma jamnikami rasy większej w okrajkach lasu przestrzeni 900-morgowej.

Psy podłożone w zapustach zaczęły niebawem gonić szaraka na oko, a że ruszyły niedaleko mego stanowiska, pomykał mi zając w oddaleniu 70 kroków w skokach nadzwyczajnych. Po strzale widocznie utknął, poszedł jednak dalej. Pieski były tuż za nim, a za chwilę ucięły. Obok stojący nadleśniczy podbiegł, by odebrać rozciągniętego zapewne szaraka, lecz za chwilę słyszę nawoływanie „hop tu!“ Idę, a ze mną pocztmistrz Cieszanowa pan H. i leśniczy miejscowy. Zdala widzimy stojącego na czystym lesie podleśniczego, lecz ani piesków, ani mniemanego szaraka. Zapytuję, gdzie się wszystko podziało, a na to otrzymuję odpowiedź, że psy w jamie lisiej. Naturalnie powtarzam zapytanie: „Cóż się stało z zającem?“ Na to utrzymuje podleśniczy, że poszedł dalej, a psy musiały po drodze przydybać lisa, który uszedł do nory. Leśniczy twierdzi przeciwnie, że zając poszedł do lisiej nory. Psy rzuciły się w norę jeden za drugim, a jak się później okazało, przodem był stary weteran, który koło zwierza waruje a nigdy nie ruszy. Cóż począć? Posyłam po łopaty dalej niż o trzy kilometry, lecz zanim je przyniesiono, wylazły oba pieski i bierze się je na sfory.

Tymczasem toczyła się debata, co w norze być może, czy lis, czy zając? Leśniczy utrzymuje teraz, iż nic nie ma w norze, i gotów trzymać zakład o 100 cygar. Zakład przychodzi istotnie do skutku z panem H., który zapewnia, że coś w norze być musi. Leśniczy, proponując zakład, robił go na podstawie, że jego pies, ów weteran, lisa w norze nie bierze, a zająca byłby wyciągnął, pies ten bowiem jest znakomity do brania borsuka i nigdy nie opuści nory, choćby

miał kilka godzin naszczekiwać, dokąd go myśliwy nie wykopie. Przeciwnie gdy lis jest w jamie, wraca i nie da się więcej do niej naprowadzić, a nawet go na lesie nie goni. Był przeto pewnym, że gdyby i lis był, to go i tak nie wykopiem, bo drugi piesek w syngieltona nic w norze nie bierze.

Przyniesiono wreszcie łopaty, a że poprzednio wysłuchano parę głosów, danych przez jednego z piesków, kopano skrzynię i przekopano norę w samym kolanie. Tu puszczono starego weterana dla przekonania się, co obecnie zrobi. Puszczony posunął się naprzód i przywarował na trzy łokcie od tego miejsca, w którem go puszczono. Kopano więc drugą skrzynię i trafiono tuż — o dziwo! — na zająca, już skostniałego, przy którym piesek warował.

Przyznaję się, że zdumienie moje było wielkie. Poluję przeszło 30 lat, a w tym czasie ze 20 lat z jamnikami lub gończakami, a nigdy nie widziałem, a nawet przyznam się, nie słyszałem, aby zając wszedł do lisiej nory i od wejścia posunął się o pełne 15 kroków w głąb nory. Szarak był stary i silny; widać posiadał odwagę, by z deszczu wejść pod rynnę.

Wychyliwszy haust z manierki na trupa, puszczono jeszcze parę razy pieski, i ogółem ubito 4 zające i rogacza. Lisów jest mnóstwo, lecz żaden nie zginął. Widziano 6 sztuk jak się wynosiły. Aby je ubić, za mało było myśliwych a knieja za duża, będą więc używały swobody aż do pierwszych śniegów, gdzie z nagonką przy większej liczbie strzelców mam nadzieję rozciągnąć ich sporo na pokładzie.

Zajęcy dosyć. Z okazow zabitych wszystkie były zdrowe i silne i bez zarodku jakiej choroby, na które dosyć często słyszeć można skargi. Mimo zawalnej i srogiej zimy, zwierz jak widać, nie cierpiał głodu, mając po liniach podostatkiem żarnowca.

Borsuków wzięto w tym roku 5, z tych 2 żywcem, lecz te miały szczęście, jeden bowiem przeznaczony do powtórnej zabawy, uszedł szczęśliwie z swego zamknięcia, drugiemu zaś darowano wolność. *L. D.*

Sniatynka 19. listopada.

(Na Dniestrowych ściankach.)

Pod wrażeniem świeżo odbytego polowania u pana Przybysławskiego w Uniżu pospieszam przesłać Szanownej Redakcyi krótkie sprawozdanie.

Najpierw trzeba wiedzieć, gdzie jest ten Uniż i jakie są warunki położenia okolicy. Dniestr, dążąc z szerokich równin samborskich ku Okopom i Żwańcowi, już od Żórawna zupełnie zmienia wyraz spokojnej, namulistej rzeki, a im bliżej Pokucia, tem wyższe i stromsze i coraz bardziej malownicze brzegi zamykają rzekę, toczącą szybko po skalistem dnie szumiące swe wody. Brzegi te, nieraz do kilkuset stóp wysokości dochodzące, wszędzie prawie porosłe lasem liściastym, w którym grab, klon, dąb karłowaty, lipa, czasem jesion tworzą właściwy drzewostan, a dereń, leszczyna i tarnina zwykłe podszycie, są prawie na całem Pokuciu skaliste. Ujścia potoków do Dniestru tworzą głębokie parowy, a w ciemnej głębi tych parowów spadają w kaskadach rzeczki małe, strojne w najrozmaitsze barwy, stosownie do pokładów skał, po których szumiąc zbiegają do Dniestru.

Oto jest położenie Uniża. Najbliższem miasteczkiem z jednej strony jest Złoty Potok, z drugiej Czernelica, sam Uniż zaś kąpie się w Dniestrze, a cała jego knieja to owe tak zwane ścianki Dniestrowe. I w istocie są to ścianki, bo stromość tych skalistych brzegów bywa tak przykrą, że tylko przy pomocy liny spuszczonej na dół, lub też na czworaku najspadzistsze miejsca przebyć można, a myśliwi, cierpiący zawrót głowy, są skazani na obstawienie górnej flanki. Pogonka, rozstawiana zawsze z góry ku dołowi, pędzi wzdłuż brzegu; po skończonym miocie myśliwi dzielą się na dwie równe partye, z których jedna górą, druga dołem zachodzą aż do następnego ostępu. Pisać to łatwo, ale wykonać te ewolucye trudniej, a nawet w całem znaczeniu tego wyrazu, bardzo trudno. Dla pogonki jest to położenie, przedstawiające przeszkody niesłychane, i kiedy się widzi tych malowniczych pół-hucułów, jak z daleka po urwiskach skalistych ni to koty się drapią, a mimo tego linię prostą utrzymują, to trzeba im przyznać i zręczność wielką i zamiłowanie do polowania. Nie znam pogonki, którąby tak równo chodziła jak „unizka“, mimo tak wielkich trudności gruntu.

Kto z myśliwych nie przebył linii „Listopadowej“ lub „Dyablej“, kto nie schodził na dół po „Czerwonej“ (tak zwanej od skał czerwonej barwy), ten sobie wyobrażenia zrobić nie potrafi o tym dziwnym, trudnym, ale bardzo malowniczym terenie. Zdaleka patrząc na te wertepy, często tylko krzakami zrosłe, a zawsze skałkami najeżone, nikt by nie przypuścił, że w tej kniei coś więcej prócz lisa znaleźć można. A jednak jest to jedno z najpiękniejszych polowań na dziki, a są i sarny, chociaż stan ich stosunkowo słaby; zajęcy dość dużo.

Polowaliśmy w 9 strzelb 14., 15. i 16. listopada, biorąc 4 a najwięcej 6 miotów dziennie. Drobną zwierzynę przepuszczało się nieraz ze względu na dziki, a rezultat wykazał: dzików 6, rogaczy 3, lisów 15, zajęcy 32. Strzałów 117. Dla objaśnienia dodać muszę, że dzikom się szczęśliwie wiodło, bo powinno było paść przynajmniej 10, ale widocznie Sylwanka im sprzyjała, stawiając niektórym towarzyszom przeszkody bądź w kłapiących drylingach, wcale nie molnarowskiego wyrobu, bądź w cienkich grabczukach, które jak wiadomo, dla ekspansywnych kul są przeszkodą stanowczą. Były także dziki, które widocznie musiały zapożyczyć się od marynarki w pancerze stalowe, bo trzeba było aż kilkakrotnych piorunujących strzałów, ażeby je powalić. Ale są to zwykłe figle Sylwanki, które ona najczęściej swoim faworytom płata, na czem jednak spalony kościół gwoździecki wcale nie stracił.*) Podpisany, nie może tym razem Sylwance robić wyrzutów, albowiem dublet z dzików, rogacz, dwa lisy i cztery zające są jak dla zwykłego śmiertelnika w szeregach św. Huberta, zupełnie wystarczającym rezultatem, a jeżeli tam kościół gwoździecki nie stracił, to tu nie zarobił, — mimo, że była chwila niebezpieczeństwa, aby się śrót na tak zwane „szplitry“ kuli expansywnej, dotąd w przestrzeni bujającej, nie przemienił.

Polowanie więc było piękne, było i wesołe; piękne przynajmniej dla podpisanego, bo dzikie, bo z pewnemi trudami połączone, w których i siły fizyczne, zręczność i przytomność umysłu zdają examin, a urocze położeniem, poezyą pejzażu, która daje moralną satysfakcyę. Wesołe było podobno to polowanie dla wszystkich, od domu zacząwszy, w którym szczera, polska gościnność gospodarstwa, umiała rozszerzyć ściany małego domku i uprzyjemnić każdą chwilę, a to wszystko tak naturalnie, tak po prostu, jak to bywało za dawnych czasów, kiedy białe nazywano białem a czarne czarnem, kiedy ludzie albo się lubili, albo się bili, ale nie chodzili za sobą jak lis za wilkiem, ażeby z odpadków po-

*) Za chybne strzały płacono na spalony kościół w Gwoździcu.

zostałych z uczty ostatniego coś oblizać. Otóż w domu było wesoło dzięki gospodarstwu, w lesie dzięki dobremu polowaniu, dobrze prowadzonemu, dobranej drużynie myśliwych i wesołej pogadance.

Podpisany sądzi, że wrażenia jego dzielą wszyscy towarzysze tego polowania, że ono im w miłej pozostanie pamięci. Należy się za to wdzięczność gospodarstwu, której wyraz niniejszem na Pokucie posyła, a miłym towarzyszom pozdrowienie myśliwskie. —

Stanisław Tarnowski.

Myczkowce 18. listopada 1888.

(Szczególne łowy na lisa.)

Pewna pani — właścicielka ładnych czarnych oczek — zapytała mnie niedawno, dlaczego tak rzadko pisuję do „Łowca“? Odpowiedziałem, że brak czasu nie pozwala mi pisać częściej. Piszę zwykle, jeżeli jest przynajmniej trzydniowa słota, a że tego lata była długotrwała pogoda, więc nie pisałem. Na to ładna pani odrzekła: „Lubię czytać pańskie korespondencye, bo są pisane z humorem.“ Chcąc tedy dostarczyć ładnej pani tego, co tak łaskawie oceniła, piszę niniejszą korespondencyę.

Ale skąd wziąć humoru? Trudno, dalipan, wymagać, aby szlachcic, gospodarz, w dzisiejszych czasach miał dobry humor. Biorą mu propinacyę, każą płacić podatek od wyrobu spirytusu, rzucają go na pastwę gwardyi p. ministra skarbu, która z bałamutnemi instrukcyami w ręku, prześladuje biedaka na każdym kroku, tak, że choć mu kartofle gniją w sklepie pod gorzelnią, a woły opasowe i inwentarz zjadają koniczynę — dotychczas gorzelni w ruch puścić nie może... I miejże tu humor! Gdy do tego pan inspektor gorzelniany oplombował mnie wczoraj 95 plombami, a w dodatku oświadczył, że na retorcie z kotła parowego muszę mieć *„Rückschlag-Ventil“*, bo inaczej nie będę mógł rozpocząć ruchu, to mi się fizyognomia tak kwaśno przeciągnęła, że więcej kwalifikuję się na fabrykanta octu, niż na korespondenta.

Lecz hola! to nie temat do łowieckiej korespondencyi. A więc przywołuję się do porządku i oto opis zdarzenia myśliwskiego:

Przed kilku dniami, wracając z jednym myśliwym i jednym pieskiem z polowania, które się udało, gdyż zabiłem bardzo ładnego z ogromnymi parostkami rogacza, ujrzałem pod lasem na polu lisa, polującego na myszy. Staję od lasu a myśliwemu kazałem, aby go obszedł potokiem i na mnie napędził. Poleciłem mu przytem: „Jak wyjdziesz z za pagórka, a lis będzie jeszcze w dolinie, strzel do niego choć daleko, to się przestraszy i prosto na mnie pójdzie. Patrzę z góry, Jaś mój podchodzi wolno z za pagórka, z psem na sforze, staje i strzela na jakie 120 kroków do lisa. A miał tylko jednę lufę nabitą. Po strzale lis w szalonym pędzie idzie, ale nie ku mnie, tylko wprost na niego i przychodzi na 15 kroków. Druga lufa nie nabita, pies, przywiązany do torby, ryczy i chce go przewrócić, skacząc jak szalony — nareszcie, gdy lis był już może na 10 kroków, spuścił Jaś psa. Pies dopadł lisa jeszcze przed lasem i zaczął naszczekiwać, lecz lis się zastawił i wziąć się nie dał, a nawet psa ukąsił tak, że z bolu mocno zaskomlał. Walcząc w ten sposób wpadli do lasu na jakie 130 kroków odemnie. Niedaleko od kraju lasu wyłazi lis na pochyłego buka i niknie w wypróchniałem wnętrzu. Dobiegam tedy, podsadzam psa, który do dziury w głowiastym pniu wydrapać się nie mógł, i mam przedziwne polowanie z gończakiem na drzewie! Pies goni zajadle, dziura duża, mająca w wypróchniałych, a z głowy buka wyrastających konarach jakby okna, którymi od czasu do czasu lis mordeczkę wystawia, ja pilnuję, by nie wyskoczył, a wszystko to dzieje się na 8 łokci nad ziemią. Nadbiega wreszcie Jaś, wyłazi na drzewo, ale choć widział lisa w jednem lub drugiem oknie jego rezydencyi i patykiem go na dół wypędzić usiłował — lis do tego namówić się nie dał. Co tu robić? Odwołaliśmy psa, a rozpaliliśmy ogień u wejścia do jamy i nasypali siarki, którą mój myśliwy zawsze ma w torbie do podkurzania lisów. Że zaś rękawami od surduta zatkał dwa otwory, liściami zaś trzeci u góry, zaczął lis kichać — a choć mu Jaś parę razy powiedział „na zdrowie!“, przecież mu to na zdrowie nie wyszło. Skoro przestał kichać, wlazł Jaś do dziupła i wrócił z nowiną, że namacał kitę lisią. Wdział tedy rękawiczkę, chustką owinął rękę i polazł do dziury. Po chwili wyłazi i mówi: „Mamgo za kitę i za tylne nogi; drapie się do góry, ale jakiś słaby.“ Stanął wreszcie obok otworu, wyciągnął lisa, a uderzywszy o buka, dobił. Pokazało się, że jednym śrutem wybił lisowi oko, i dla tego mykita tak ostro sadził na niego po strzale.

W mojej okolicy w tym roku zajęcy mało, a sarny ginęły na motylicę, co dotąd nigdy nie bywało. Znaleziono u mnie trzy nieżywe sztuki, a ilu to sarnom lisy sprawiły bezpłatny pogrzeb — trudno policzyć. Lisów za to więcej, niż zwykle, a kuropatw niewiele. Gdyby tylko czas pozwolił, byłaby zabawka. Wczoraj wypadłszy przed wieczorem do lasu na lisa, zobaczyłem trzy. Schowany za drzewem, zawabiłem na zająca i dwa puściło się ku mnie wyciągniętym galopem. Strzeliłem do pierwszego na sztych i ten nakrył się kitą — drugi, mocno zawstydzony, umknął w przeciwną stronę.

Teofil Żurowski.

Z pod Skolego w listopadzie.

(Straszny wypadek z niedźwiedziem.)

Dnia 2. listopada wybrał się właściciel Kruszelnicy, pan Poschinger, wraz z synem i leśniczym, Janem Turberem, na polowanie. Wybrali się właściwie na zająca, ale zaraz za ostatniemi chatami wsi napotkali świeży trop niedźwiedzia. Posłali więc po nagonkę, spiesznie zajęli miot i ledwie nagonka ruszyła, wysunął się z gąszczy stary myś. Szedł on prosto na dziedzica, który dał do niego ognia z dwururki. Zwierz wstrząsnął się tylko, jakby go mucha ukąsiła i zwrócił się w stronę, gdzie stał młodszy pan Poschinger. Ten również strzelił do niego dwa razy. Stary myś skręcił się teraz i poszedł na drugą stronę stanowisk myśliwych. Sądzili wszyscy, że dostawszy cztery kule, zalegnie niedaleko, puścili się więc za postrzelonym, który pobiegł ku rzece Stryjowi. Właśnie kiedy przechodził przez rzekę, leśniczy Turber posłał za nim jeszcze dwie kule. Niedźwiedź tylko się obrócił i przyglądał się niemo myśliwym, jakby badając, który to z nich taki wróg jego. Następnie położył się w wodzie na jeden bok, potem na drugi, wstał znów i począł iść dalej. Teraz Turber przeprawił się przez rzekę i z kilkoma naganiaczami przeciął zwierzowi drogę, a sądząc, że niedźwiedź mocno już osłabiony, przypuścił go na 7 do 8 kroków i dał ognia celując w głowę. Rozjuszony myś rzucił się wówczas na nieostrożnego myśliwego i uderzył go łapą tak, że Turber powalił się na ziemię; następnie pazurami pochwycił go za twarz, mianowicie za szczękę, i podniósłszy swą ofiarę, rzucił nią o 30 kroków w bok. Dokonawszy tego dzieła zemsty, poszedł spokojnie dalej w las. Kiedy przy-

bieżono Turberowi na pomoc, nieszczęśliwy już nie żył; niedźwiedź oderwał mu dolną szczękę wraz z brodą i pogruchotał kości.

Jednocześnie odbywało się polowanie w sąsiednim lesie podhorodeckim, przy udziale miejscowego leśniczego pana Kruka, oraz naczelnika gminy. Niedźwiedź, uchodząc z obszaru kruszelnickiego, wszedł właśnie pomiędzy łowców podhorodeckich. Na widok rozjuszonego „wujka“ leśniczy schronił się na niewysoką olchę i usiadł między jej konarami, a gdy niedźwiedź się zbliżył, strzelił do niego. Zwierz, postanowiwszy nie przepuścić i temu wrogowi, wspiął się na tylnych łapach, a przedniemi pochwycił go za nogi. Poszarpał na nim buty na kawałki, pokąsał mu nogi i pokaleczył inne części ciała. Dopiero usłyszawszy naszczekiwanie psów, rozsierdzony „wujko“ opuścił swą drugą ofiarę i posunął dalej.

Na drugi dzień leśniczy z Jamielniczek dowiedział się o postrzelonym niedźwiedziu i dalejże za nim w las! Doszedł go rzeczywiście, leżącego i obskoczonego zgrają psów. Sądząc, że zwierz już dochodzi, strzelił do niego jeszcze dwa razy; ale straszny zwierz znalazł jeszcze tyle siły, że wstał i rzucił się na leśniczego, lecz wraz z nim powalił się na ziemię. Otwierał już paszczę, aby rozszarpać swą ofiarę, lecz zręczny i przytomny leśniczy w mgnieniu oka pogrążył w niej swą pięść i pochwycił zwierza za ozór głęboko w gardle. Tak przez kilka minut leżeli oba; oczywiście niedźwiedź był już bardzo osłabiony. Wójt podhorodecki, posłyszawszy gwałtowne naszczekiwanie psów, nadbiegł po chwili i zobaczył całą scenę, a nie namyślając się długo, strzelił do leżącego na człowieku niedźwiedzia i nareszcie go dobił. Martwego mysia odwieziono do dworu w Kruszelnicy. Był on niezwykłych rozmiarów, a ważył 460 funtów. Zewsząd zbiegali się ludzie, aby zobaczyć potwora. Nieszczęśliwy leśniczy Turber pochowany został d. 4. b. m. na cmentarzu w Kruszelnicy. *D.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Uhercach, własności pana Stanisława Niezabitowskiego, ubito w 4 strzelb na czarnej stopie dnia 18. października zajęcy 14, lisów 3 i jedną słonkę. Prócz tego strzelanych lisów uszło 9. Jeden z myśliwych strzelił na jednem stanowisku do 3 lisów, a gdy tenże sam miot przegoniono zaraz bezpośrednio po raz drugi, strzelał znowu na tem samem stanowisku do 2 lisów. Nadmienić wypada, że miot ten obejmował przestrzeń zaledwie 15-morgową i że w nim było 9 lisów, z których tylko 3 padło.

— W Starzyskach, własności pana Edwarda Zawidowskiego-Weissmanna, w rewirach Rudaczka i Gumniska, ubito w strzelb 4 na czarnej stopie, w dniach 26. i 27. października, zajęcy 5 i lisów 14.

— W Miławczycach w Krakowskiem (w Królestwie Polskiem) odbyło się polowanie w pierwszych dniach listopada w górach u pana L. Dembińskiego. Każdy z zaproszonych cieszył się na to piękne polowanie, gdzie w miłem i dobranem towarzystwie, przy tak uprzejmej gościnności młodego gospodarza, czas wszystkim prędko i przyjemnie schodzi. Lecz niestety, nie wszystko zdarzyło się po naszej myśli. Nagła zima z 12-stopniowym mrozem zaskoczyła nas niezaopatrzonych w ciepłe ubranie i obówie. Chuchaliśmy w ręce i dreptali na stanowiskach, naturalnie przed rozpoczęciem gonu; — podczas pędzenia różnie bywało, lecz o tem się nie mówi. Przy silnej zadymce i dużej okiści zwierzyna niechętnie wychodziła ze zwartych zagajów, pokazując się na liniach tuż przed samą nagonką. Mimo tych wszystkich poważnych przeszkód zabiliśmy przecież w jedenaście strzelb: 6 rogaczy, 4 lisy i 164 zajęcy — razem 174 sztuk, a w ostatnim miocie t. j. „Dębinie Michałowskiej“ narachowaliśmy 23 sztuk sarn. W tymże miocie padła także koza o trzech nogach, strzelona umyślnie, gdyż miała lewą przednią nogę dawniej złamaną i zupełnie źle zrośniętą. W dniu 8. listopada znaleziono zmarzniętego zajączka sześciotygodniowego. *Trzebiński.*

— W Hoszanach, własności pana Stefana Janki, ubito w 16 strzelb dnia 3. listopada rogaczy 4, zajęcy 17, lisów 16. Strzałów dano 105. Podnieść tu należy, iż ubito tak znaczną ilość lisów, pomimo, że przeszłej zimy wystrzelano do 30 sztuk.

— W Chocimierzu i Bortnikach, własności państwa Szymanowskich, w dniach 9. i 10. listopada na 140 strzałów padło 45 zajęcy, 15 lisów, 3 kozły i duża locha. Małą liczbę zajęcy przypisać należy bardzo wielkiej liczbie lisów.

— W Dobrowodach, własności Dr. Stanisława Mandla, odbyło się dnia 14. listopada, na śniegu, polowanie. W strzelb 4 ubito zajęcy 8 i lisów 2 na 12 strzałów. Podnieść tu należy, że ilość zajęcy znacznie większa, niż przeszłego roku, choć lisów bardzo wiele; na jednego z myśliwych wyszło dwa razy po dwa lisy razem w jednym miocie, jak gdyby sprzągnięte.

— W Zbarażu, w rewirze zbaraskim, pod zarządem pana J. Sochanika, odbyło się dnia 17. listopada polowanie. W strzelb 16 ubito na śniegu rogaczy 4, zajęcy 22, lisów 8. Podnieść tu należy, że sarn jest wiele; widziano do 40 sztuk. W miotach dość długich zające wracały na pogonkę; mogło paść dwa razy tyle zajęcy. Strzałów dano 134. W porównaniu z zeszłorocznem polowaniem w tym rewirze w analogicznej porze i warunkach, rezultat ten nazwać można świetnym. Widocznie większa jest staranność w dozorze.

— W Dąbkach, własności bar. Mikołaja Romaszkana, odbyło się dnia 17. listopada polowanie w 18 strzelb. Padło 8 dzików, 6 kozłów, 6 lisów i 12 zajęcy. Dziki, wszystko duże sztuki, szczególnie jeden odyniec bardzo typowy, ważył 219 kilogramów. Małą ilość zajęcy należy przypisać temu, że tylko w jednym miocie na nie strzelano.

— W Zaczerniu, własności p. Adama Jędrzejowicza, dnia 19. listopada odbyło się polowanie. W 12 strzelb ubito: 3 rogacze, 6 lisów i 80 zajęcy. Stan zwierzyny świetny, prowadzenie wzorowe, w każdym miocie tryzuby z koniczyną. Zasługa to głównie właściciela, a niemniej bardzo gorliwego leśniczego, który umie pogodzić zamiłowanie łowiectwa z obowiązkami zdolnego leśnika. Małą stosunkowo liczbę ubitych kozłów temu przypisać trzeba, że po rotowym ogniu do zajęcy, sarny przebijały się przez nagonkę, a w jednym miocie zdarzyło się, że rogacz, przeskakując przez zwarty szereg nagonki, skaleczył w głowę naganiacza tak, że go omdlałego wyniesiono. *R. W.*

— W Staniątkach, na polowaniu „w kociołki“, urządzonem w dniu 3. listopada przez Dr. Stanisława Larysz Niedzielskiego, jako przewodniczącego Staniąteckiej spółki myśliwskiej, ubito na czarnej stopie w strzelb jedenaście 81 zajęcy i 3 kuropatwy. W kilka dni po tem polowaniu pasterze na terytoryum tejże spółki urządzili sobie sami polowanie w kociołki z kijami i ubili 3 zające. Sprawę oddano do sądu. Dnia 22. listopada urządziła spółka drugie polowanie na czarnej stopie „w kociołki“ na temże samem terytoryum. Polowano w 12 strzelb i ubito 106 zajęcy i 1 lisa.

KRONIKA.

Na polowaniu dworskiem, odbytem dnia 29. października pod Wiedniem, padło 787 zajęcy i 35 kuropatw. Pomiędzy uczestnikami łowów znajdował się hr. Ludwik Wodzicki, który ubił 87 zajęcy.

Klub myśliwski, istniejący w Warszawie od lat 20tu, liczy obecnie 150 członków czynnych. Składka roczna w tym klubie wynosi 75 rs.

Jeszcze pustynnik. Pan Wilhelm Arway, leśniczy w skarbie pełkińskim, pisze nam: Dnia 16. listopada b. r. parobek mój, jadąc przez t. zw. lerżachowskie piaski, ćwierć mili od Sieniawy, w powiecie Jarosławskim, spostrzegł przed końmi dość leniwo przeciągającego ptaka, którego udało mu się batem uderzyć i tym sposobem złowić. Ptakiem owym był pustynnik *(Syrrhaptes Pallasii)*, którego obecnie chowam u siebie w domu, a dopiero z wiosną wrócę mu wolność. Ponieważ panuje ogólne zainteresowanie się tym rzadkim ptakiem, przeto posyłam Szanownej Redakcyi powyższe zawiadomienie.

O strasznej katastrofie z niedźwiedziem, która się wydarzyła dnia 3. listopada w sam dzień św. Huberta, w zwierzyńcu warszawskim, opowiada naoczny świadek co następuje:

„O godzinie 4. codziennie odbywało się w ogrodzie zoologicznym karmienie zwierząt, przy której to czynności zajęci byli trzej dozorcy Hetke, Sobczyński i Kuczerski. Dwaj pierwsi udali się do murowanych klatek, gdzie się znajdują lwy i słoń, ostatni zaś wstąpił do dołu z dwoma niedźwiedziami. Manipulacya karmienia obu mysiów uskutecznia się w ten sposób, że dozorca zapuszcza się schodami do kurytarza, tworzącego wejście do murowanej jamy, i tam przez podniesienie klapy bezpieczeństwa wypuszcza jednego niedźwiedzia, aby odosobniony od swego towarzysza mógł sam spokojniej spożywać swój żer i nie gryzł się z nim o szczątki biesiady. Klapa bezpieczeństwa daje się podnosić z łatwością; być może, iż pojętne zwierzęta nauczyły się same ją otwierać, być może, iż Kuczerski sam dość szybko nie zdążył jej zapuścić, dość na tem, iż starszy niedźwiedź, duża kudłata bestya, wychowana w zwierzyńcu od maleńkości, rzucił się na swego karmiciela i wciągnął go w głąb kurytarza, przyczem objął go silnie łapami i pazury zapuścił mu w głowę. Na rozpaczliwy krzyk ofiary nadbiegł drugi dozorca, Sobczyński, ale przerażony musiał się cofnąć, nie mogąc podjąć bez żadnej broni zapasów z niedźwiedziem, trzymającym w śmiertelnym uścisku Kuczerskiego. Pobiegł wpierw po widły i natarł niemi na rozjuszone zwierzę w chwili, gdy wyrwawszy Kuczerskiemu policzek, zabierało się do obgryzania jego głowy. Niedźwiedź schwycił za widły i szczerząc groźnie zęby, ujął jednocześnie za fartuch Sobczyńskiego, ale ten, nie tracąc na szczęście przytomności, odpasał fartuch i uratował się ucieczką. Przywoławszy robotników, pracujących przy kanalizacyi, po raz trzeci z żelaznym prętem w ręku zapuścił się S. w fatalny kurytarz i zaczął kłuciem odpędzać niedźwiedzia. Kuczerski, ogromnie poraniony i poszarpany zębami i pazurami dzikiej bestyi, prosił jeszcze Sobczyńskiego, aby bardziej nie jątrzył jej mówiąc: „Może mnie pomęczy i puści", lecz w tej samej chwili niedźwiedź zdarł mu całą skórę z głowy. Widok był straszny; na samą myśl o nim, dreszcz przechodzi człowieka... Sobczyński wpadł nareszcie na dobry, choć spóźniony pomysł, aby ogniem odpędzić niedźwiedzia; uwiązał pęk słomy na pręcie żelaznym, zapalił ją, i rzeczywiście taką pochodnią wypłoszył dopiero rabusia z kurytarza do dołu. Zapuszczono klapę bezpieczeństwa i pospieszono z ratunkiem do broczącego krwią Kuczerskiego, którego ciało przedstawiało jedną wielką ranę. Z głowy miał skórę zupełnie zdartą, oczy wyłupione, twarz obgryzioną, ucho oderwane, klatkę piersiową zgruchotaną, żebra połamane, ręce i nogi poszarpane.

Sprowadzony na miejsce dr. Skabiczewski udzielił pierwszej pomocy nieszczęśliwemu, który zachował pomimo okropnych cierpień tyle jeszcze przytomności, iż po głosie poznawał obecnych. W krótce wszelako umarł w szpitalu Dzieciątka Jezus, pozostawiwszy żonę i czworo drobnych dzieci; przed kilku miesiącami został ojcem bliźniąt, a posługaczem był od niedawna w zwierzyńcu."

Pojawienie się wilków. Ze wsi Pobuka koło Skolego donoszą: Kilka już lat nie widziano u nas wilków, dopiero w tym roku pojawiły się niespodzianie. Dnia 16. października udali się pasterze owiec do wsi, zabrawszy z sobą psy i zostawiwszy owce w koszarach. Tymczasem podeszły wilki do koszar. Przestraszone owce rozbiły koszary i puściły się w ucieczkę do lasu. Gdy po kilku godzinach wrócili pasterze, nie zastali już owiec; wilki zagryzły i pokaleczyły przeszło 50 owiec, a tylko mała ich część zdołała się uratować.

Z pod Bursztyna donoszą także o ukazaniu zię tam bandy wilków. Omal, że ofiarą ich nie padł oficyalista w Ruźdwianach, majątku, leżącym o ćwierć mili od bursztyńskiego dworca kolejowego. Wracał on około 7 godziny wieczorem do domu, gdy w czystem polu, pod samą już prawie wsią, napadło go kilkanaście wilków. Chyżości tylko nóg swoich zawdzięcza, że dopadł do drzewa, na które schroniwszy się, przesiedział na niem noc całą, trzymany przez wilki w formalnem oblężeniu. Dopiero, gdy dzień się zrobił i wilki uciekły, mógł zziębnięty, przemokły do nitki, bo w nocy deszcz padał, z tej miłej sytuacyi wyswobodzić się. Jest to tem dziwniejsze, że okolica ta bynajmniej nie obfituje w takie lasy, ażeby się w nich dzikie zwierzęta tak mnożyć i przechowywać mogły. Już przed kilku tygodniami, w wczesnej jeszcze jesieni, widziano ślady wilków we wsi, a nawet na obejściu jednego z gospodarzy. Zachodzą one tam zapewne z górskich okolic, gdzie widać, że musiały się w tym roku licznie rozrodzić, kiedy aż na niziny idą szukać żeru.

O wściekłych wilkach donoszą z gub. orłowskiej: We wsi Troickoje ukazała się wielka ilość wilków, które ogarniają przestrachem mieszkańców. Ogromną trwogę wywołało tam pojawienie się wilka wściekłego, który w ciągu jednej nocy pokąsał aż 20 ludzi na przestrzeni 30 wiorst w okolicy. Wściekłe zwierzę pędząc, wpadało do 7 wsi, aż w końcu zostało zabite siekierą.

Drapieżne zwierzęta w Indyach wschodnich w roku 1886. porwały 24.841 ofiar. Zginęło mianowicie od ukąszenia przez jadowite węże osób 22.134, rozszarpanych przez tygrysy osób 928, przez wilki 222, przez lamparty 194, przez niedźwiedzie 113, przez słonie 57, przez hyeny 24. W tym samym roku drapieżne zwierzęta rozszarpały tam 57.541 zwierząt domowych. Drapieżcami były w 23.769 wypadkach tygrysy, w 22.275 wypadkach lamparty. Liczba ofiar w ludziach i zwierzętach była znacznie wyższą niż w dziesięciu poprzednich latach. Ubito w r. 1886. drapieżnych zwierząt 22.417, wężów 417.596.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie